WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI" Nr 38 (364) 22 września 1968 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

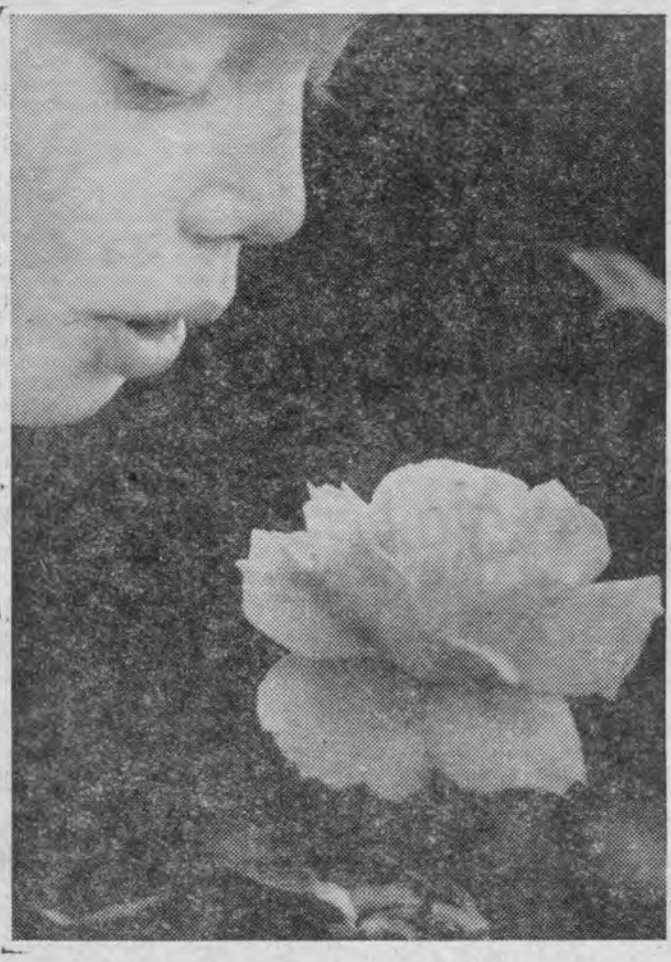

Jesienne róże

Fot. AR — MARIA MONASTERSKA

LUDOMIR MAZELA

* * *

Marii

gdzie mnie poszukasz kiedyś
gdzie wypatrzą mnie — twoje oczy
oczy zielone — duże
szukaj mnie tam gdzie góry
w omdleniu błękitnym
gdzie niebo zachodnie
urasta w burzę
z moich marzeń cóż pozostanie
może popiół — może z nich wyrosną
brzozy białe — czujące drzewa
szukaj mnie w nich — gdy szumią
i ptak w nich śpiewa
i pomyśl że nie pojąłem nigdy
opętany miłością świata
sedna smutku — głębiny radości
że nie wiem o czym rozpacza samotnie
zwalone drzewo leżące na wznak
szukając pomyśl że nie rozumiem
o czym pachnie w godzinę zachodu
gorzko rozkwitły mak
wtedy wypatruj mnie najmocniej
gdy po niebie chmurnym
wiatr obłoki gna
nim cień mój pochłonie i zgasi
cicho płynąca
nocy czarna kra.

Barbara Sidorczuk

Demokracja dnia powszedniego

PRZYWILEJE

NA PODSTAWIE jednorazowej porcji przeczytanej korespondencji od czytelników zebrałam sobie listę przykładów. Nie jest ani specjalnie długa, ani szczególnie reprezentacyjna. Na dobrą sprawę każdy z tych przykładów może być zupełnie odosobniony i tylko czyjemuś zamiłowaniu do pisania zawdzięcza, że stał się tematem rozważań. Bo może w praktyce wcale tak nie jest, albo może jest trochę inaczej...

Sygnalizuję pewne zjawisko, które wielu z nas byłoby w stanie zilustrować inaczej na podstawie własnych doświadczeń. Sygnalizuję mianowicie zjawisko łamania zasad demokracji dnia powszedniego.

Demokracja socjalistyczna jest ustrojem stworzonym przez ludzi i dla ludzi, a nie dla aniołów. Wiadomo, co człowiek potrafi zrobić z najpiękniejszą nawet zasadą, jeśli się uprze i sprzyjać mu będą okoliczności. Więc też demokracja dnia powszedniego może być łamana, zwłaszcza że często jest to nawet nęcące i niejednokrotnie trzeba ogromnej siły woli, by się temu oprzeć. A temat podjęłam dlatego, że jest ku temu poważna okazja. Tezy na Zjazd partii przypominają, że krytyka społeczna to jeden z motorów demokracji socjalistycznej, zachęcając tym samym do niegodzenia się z tym, co złe.

ZAKRES PRZYWILEJÓW

W myśl obowiązującego u nas prawa własności, wielki zakład przemysłowy jest własnością w tym samym stopniu jego dyrektora, co sprzątaczki czy gońca. Wiadomo jednak, że pozycja dyrektora w tym zakładzie nie równa się pozycji gońca i jak długo rzecz pozostaje w sferze faktycznej przydatności zawodowej pierwszego i drugiego, ta nierównomierność nie budzi zastrzeżeń. To zrozumiałe, że dla pełnego wykorzystania wiedzy i umiejętności dyrektora potrzebna jest być może np. nie jedna, a dwie sekretarki, by tenże dyrektor nie musiał tracić czasu na błahostki. Goniec sekretarek nie potrzebuje, nie musi też pracować w gabinecie, ani mieć do dyspozycji samochodu. Zastrzeżenia jawią się dopiero wówczas, gdy tenże goniec musi ustępować pierwszeństwa dyrektorowi w sferze przywilejów, które gwałcą ustrojowe zasady równości.

Ponieważ jesteśmy u końca sezonu urlopowego, przykłady zaczerpnięte z korespondencji mają charakter nieco sezonowy, ale domyśleć się można, że występują z prawidłowością powracających pór roku. W jednym z zakładów pracy zorganizowano kolonie letnie dla dzieci pracowników i dysponując transportem postanowiono dostarczyć kolonistów na miejsce autokarami. Pojechały wszystkie poza dziećmi dyrektora i jeszcze jednego pracownika blisko z kierownictwem związanego. Tą samą trasą mknęły prawie w tym samym czasie — autokar dla mas, i auto dla wybrańców. Nie chcę snuć dalszych rozważań na temat wpływu wychowawczego takiej podróży na dyrektorskie dzieci, to zupełnie inny problem. Ograniczmy się tylko do tego jednego faktu: złamana została jedna z podstawowych norm naszego życia — zasada równości.

„SWOI" i INNI

Wśród przykładów sezonowych warto odnotować także inne związane z wczasami, bo jak się okazuje także wczasy mogą być scenerią odpowiednią dla pojawienia się nieuzasadnionych przywilejów. Zakładowe ośrodki, jak wiadomo, rozwiązują w ogromnym stopniu sprawę wypoczynku ludzi zatrudnionych w dużych zakładach przemysłowych, zwłaszcza gdy potrafią te zakłady rzetelnie gospodarzyć. Ale w jednym czy drugim supernowoczesnym pensjonacie są pokoje gorsze i lepsze, i wiadomo, jakiemu kluczowi kwaterunkowemu one z reguły podlegają. Ba, przytaczano nawet przykłady, gdy taki pensjonat budowany jest od razu z drobną korektą architektoniczną, wydzielającą „apartamenty" dwu- lub nawet trzypokojowe dla prominentów.

Wiadomo, że skierowanie na wczasy jest dzisiaj ogromnie łakome, bo zapotrzebowanie przerosło podaż, więc nawet przydział dwutygodniowych wczasów staje się elementem systemu pracowniczych wyróżnień. Jednocześnie zdarza się i to, niestety dosyć często, że rodziny osób wysoko postawionych w hierarchii zakładu spędzają tam całe lato, przy czym mamy tu do czynienia z przywilejem, który rozszerzony został na zasa-

(Ciąg dalszy na str. 8)

WITOLD SZYMCZYK

PRZECIW-PANCERNI

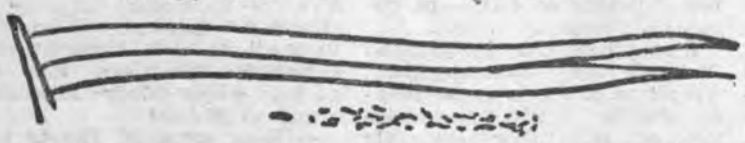

W tym samym czasie co grupa Partyki, rejon zgrupowania pene trowała inna grupa zwiadu. Dowodzona przez por. Jarmolenkę zgrabnie wyminęła pojedynczych Niemców przebiegających wzdłuż ulicy i w poszukiwaniu lepszych kąsków poszła dalej. Niestety, na jednym z podwórek zastąpił zwiadowcom drogę... buhaj. Należał widocznie do jakiegoś zagorzałego hitlerowca, bo z impetem zaatakował naszych żołnierzy tak, że Jarmolenko musiał poczęstować go seryjką z pepeszy. To zaalarmowało Niemców. Na podwórzu wylądował pocisk z moździerza, nie czyniąc na szczęście nikomu szkody. Ucierpiało tylko radio, które odłamki uczyniły niezdatnym do użytku.

W trójkę — Jarmolenko, Janek Wiśniewski, Stanisław Ptak — wpadli do murowanego budynku, wbiegli na strych, by rozejrzeć się po okolicy, ale to co zobaczyli, zaskoczyło ich. Niemcy byli przed nimi i... za nimi. Opanowali już podwórze, na które przed chwilą strzelały ich moździerze. Łączności z własnymi bateriami nie było, radio rozbite, więc nasi postanowili wracać. Poczekali aż Niemcy odeszli na 200 metrów, rąbnęli im w plecy krótkimi seriami z automatów i skokami, klucząc wśród bloków, rozpoczęli powrót do swoich.

Wracali w trudnym momencie. Na baterie pułku ruszyły niemieckie czołgi, które wypełzły z lewej strony od zabudowań. Jeden z nich podszedł do nasypu szosy, wystawił lufę działa nad asfalt i walił do stanowisk 2 baterii. Nasi odpowiadali mu, ale bezskutecznie.

— G...no mu zrobimy w ten deseń — zawyrokował dowódca baterii. — Trzeba strzelać do drzew, za którymi stoi. Jak mu się zwalą przed lufę, musi zmienić stanowisko.

Chwyt był dobry. Dwa celnie trafione drzewa zasłoniły wkrótce pole widzenia czołgistom i Niemiec cofnął się, podstawiając maszynę pod lufy 1 baterii. Trafiony zapłonął wkrótce jak pochodnia.

Trzy inne maszyny przelazły jednak przez drogę i wykorzystując falistość terenu zbliżały się do naszych pozycji. Pierwszy z czołgów, podszedł już na 400 metrów do stanowisk baterii, ale dostał w gąsienicę, która pękła i spadła. Zaczął kręcić się to w lewo, to w prawo na pozostałej i wtedy Józef Butrym (rodem spod Niska) dołożył mu drugim pociskiem tak, że zapalił się.

Trochę z przodu, z lewej strony od polskich miejsc, gdzie sta-

(Ciąg dalszy na str. 2)

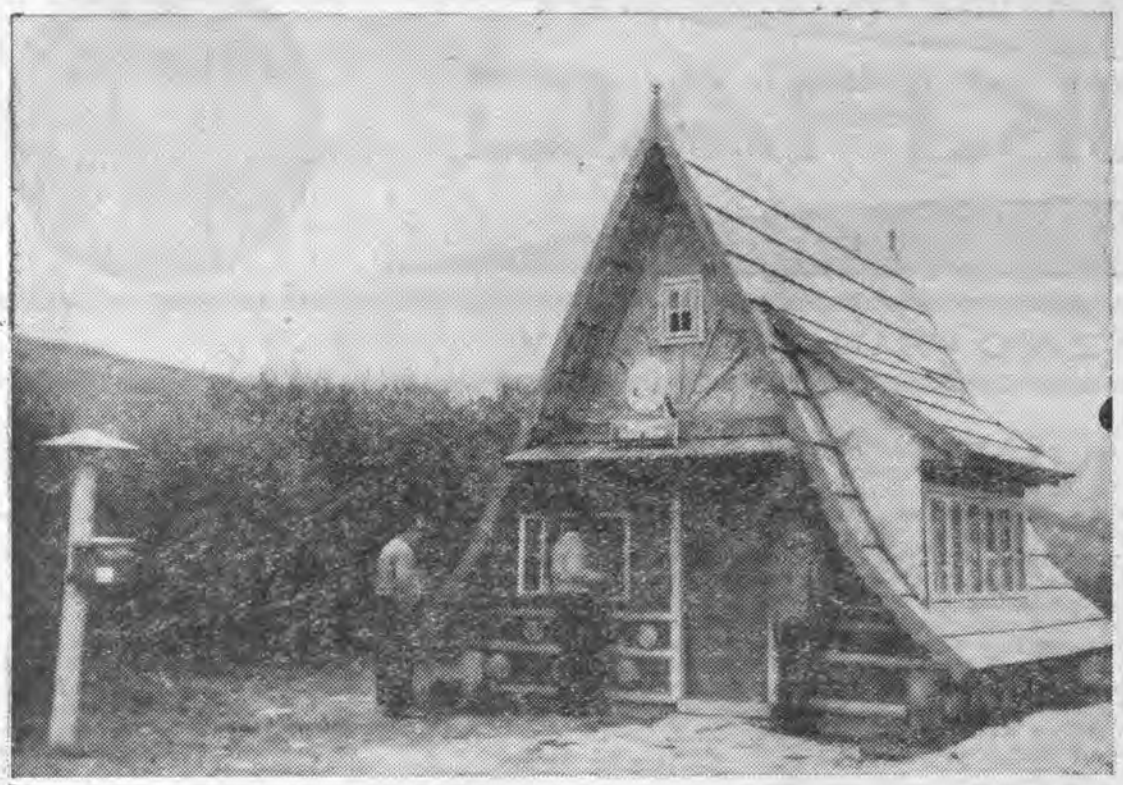

Pawilon pocztowy w Ustrzykach Górnych. *Fot. M. KOPEC*

Jan Rem

Słońce świeci dla wszystkich, ale...

Ledwo co wróciłem z nadmorskich kurortów, gdzie marzyłem, żeby mieć przy sobie jakiegoś, powiedzmy, Anglika i szokować go naszymi kontrastami socjalnymi a reburs. Bo któż mieszka w odrapanym domku, ocienionym sznurami z suszącą się bielizną pn. „Villa Lukrecja"? Znany nabab — wytwórca rękawiczek. A któż to mieszka w luksusowym hotelu z widokiem na morze? Urzędniczka z Ministerstwa Finansów. I któż to poleguje w logii budynku przypominającego widokówki z Florydy? Wytapiacz ze śląskiej huty, zapomniałem której.

Gdybym miał pod ręką Anglika, obrazki te pozwoliłyby zasugerować mu, że sprawiedliwości społecznej stało się zadość. I co do generaliów byłoby to wrażenie słuszne, tyle, że nieco powierzchowne. Najbardziej naiwny nawet cudzoziemiec nie mógłby chyba przypuszczać, że ci ludzie, którzy błąkają się po Wybrzeżu, stoją w ogonku po pomidory i kiełbaski z rusztu i usiłują zdobyć dwa metry kwadratowe pod namiot — to dawni wyzyskiwacze, zaś dawni wyzyskiwani co do jednego mieszkają w luksusowych pensjonatach. Urlopowa mordęga jest udziałem ludzi wszystkich warstw. A uprzywilejowani? W mniej lub więcej luksusowych pensjonatach miejsce dobrze urodzonych zajęli dobrze osadzeni. I tu już cudzoziemiec przestałby rozumieć, dlaczego jeden hutnik leży sobie w logii i czeka aż kelnerki nakryją do kolacji, a drugi, pracujący w sąsiednim przedsiębiorstwie, płaci za nocleg w stodole tyle, ile ten pierwszy za pokój z łazienką.

Bowiem pracownicy firm, które posiadają własne ośrodki wczasowe mają niewspółmiernie większe szanse na tani i wygodny urlopowy wypoczynek niż pracownicy przedsiębiorstw, które się własnego wczasowiska nie dorobiły czy raczej nie dobiły. Owe dysproporcje w możliwości urzeczywistniania prawa do wypoczynku, niestety, narastają.

W latach 1962—1966 liczba miejsc na wczasach FWP wzrosła minimalnie. Tymczasem liczba miejsc w domach wypoczynkowych i ośrodkach wczasowych należących do przedsiębiorstw, branżowych związków zawodowych i różnych organizacji urządzających wypoczynek dla swoich członków — wzrosła trzykrotnie.

W roku 1966 na wszystkie, nie FWP-owskie ośrodki wczasów i turystyki dostępne dla ogółu (np. campingi i stanice PTTK czy schroniska młodzieżowe) państwo wydało około 3 proc. tych sum, jakie przedsiębiorstwa, związki i organizacje przeznaczyły na zapewnienie wypoczynku swoim pracownikom i członkom.

Kiedy wypoczynek świata pracy organizowała prawie wyłącznie instytucja wczasów pracowniczych — FWP — dostęp do domów wczasowych był w zasadzie równy dla wszystkich pracujących. Dziś rzeczywiste kryterium dostępności jest — mówiąc bez ogródek — mniej sprawiedliwe. Szanse na wygodny i tani wypoczynek zależą od tego, g d z i e się pracuje. Ale to bynajmniej nie jedyny mankament tej, a nie innej struktury rozwoju bazy wypoczynkowej. W 1966 roku FWP dysponował 49 tysiącami łóżek. Skorzystało z nich w owym roku 577 tys. wczasowiczów. Przedsiębiorstwa, związki branżowe i organizacje dysponowały w owym roku 150 tysiącami miejsc, obsłużyły zaś 750 tys. urlopowiczów. Z jednego więc miejsca FWP korzysta w ciągu roku około 11 osób, podczas gdy w pensjonatach dostępnych tylko „swoim" — 5 osób.

Zdawać by się mogło, że w sytuacji, kiedy ośrodki zakładowe i branżowe rozwijają się dynamicznie i górują swoim potencjałem, a baza FWP rozwija się bardzo wolno i z roku na rok jej udział ilościowy maleje — powołaniem Funduszu Wczasów Pracowniczych stać się powinno obsługiwanie przede wszystkim tych pracowników, którzy nie mają dostępu do domów zakładowych, czy należących do branżowego związku zawodowego. Tak nie jest i miejsca FWP rozdzielane są pomiędzy związki i zakłady pracy, względnie niezależnie od ich własnego stanu posiadania, co wzmaga uprzywilejowanie jednych i umniejsza dostęp do wypoczynku drugich. Cofnięcie przydziałów FWP przedsiębiorstwom i związkom mającym własne wczasowiska byłoby zresztą w pewnym sensie niesprawiedliwe i nierozumne dlatego, że skazywałoby pracowników danej firmy na jeżdżenie na urlop w kółko w to samo miejsce i w tym samym mniej więcej towarzystwie.

Obecna struktura rozwojowa bazy wczasowej, poza wymienionymi tu wadami, ma też pokaźne zalety i trudno jest owe wady i zalety zbilansować, ponieważ są do siebie nieprzymierzalne.

Dzięki działalności inwestorskiej przedsiębiorstw, związków i organizacji, potencjał urządzeń wypoczynkowych rośnie ostatnimi laty dynamicznie. Wczasowiska własne są na ogół prowadzone lepiej, staranniej, są bardziej zadbane i mają wyższy standard usług, a dzieje się tak, ponieważ mają gospodarza, który jest zarazem użytkownikiem, a także dlatego, że czerpią z różnych nietypowych, dodatkowych źródeł finansowania. Gdyby więc w imię równości dostępu wszystkich ludzi pracy do wypoczynku powrócić do koncepcji scentralizowanego prowadzenia bazy wczasowej — jak to ongiś było — dynamizm rozwojowy wczasów uległby zahamowaniu, a jakość usług by się pogorszyła. Zresztą równość ta niekoniecznie byłaby równoznaczna ze sprawiedliwością. Pracownicy wielu zakładów powiedzieliby, że oni przeznaczyli poważne kwoty z wypracowanego przez się funduszu zakładowego na te cele, że zgodzili się umniejszyć swoją trzynastą pensję, a inne przedsiębiorstwa nie wypracowały takich kwot, zaś ich załogi nie zgodziły się opodatkować na budowę wczasowiska — dlaczegóż by więc miały korzystać z wczasów w stopniu identycznym?

Z wymienionych przyczyn jestem zwolennikiem modelu istniejącego, uważam bowiem, że wpierw trzeba zadbać o to, aby było co dzielić — a dopiero w drugiej kolejności zastanawiać się, jak dzielić. Natomiast uważam, że istnieje potrzeba pilnych reform.

W bazie wczasowej przedsiębiorstw, związków i organizacji tkwią pewne „rezerwy mocy". Można by więc wprowadzić system wymiany między niedostępnymi ogółowi placówkami wypoczynkowymi, a FWP: za określoną ilość miejsc na efwupowskich wczasach określona ilość miejsc w domach zakładowych czy branżowych do dyspozycji FWP. Byłaby to operacja obustronnie korzystna, bo uprawnieni do korzystania ze „swoich" domów często pragną jakiejś odmiany. Można dalej wprowadzić zasadę, że budowanie własnego ośrodka wczasowego wymaga opodatkowania się — w jakiejś procentowej proporcji do preliminowanych nakładów finansowych na budowę — na rzecz FWP. Byłoby to logiczne i sprawiedliwe, bo zwiększanie się szans na wypoczynek danej załogi nie umniejsza jej uprawnień do korzystania z ogólnodostępnych miejsc wczasowych, przez co staje się ona szczególnie uprzywilejowana.

Dalej, możliwe byłoby zawieranie umów między kilkoma przedsiębiorstwami. Jedno inwestuje i administruje ośrodkiem — aby miał on konkretnego gospodarza, inne partycypują finansowo i rzeczowo w budowie, a za to uzyskują określoną umową liczbę miejsc do swojej dyspozycji.

Obecnie dysproporcje w prawie do taniego i wygodnego wypoczynku są znaczne. Skoro jednak nieracjonalną, a nawet niesprawiedliwą rzeczą byłoby likwidowanie grupowego uprzywilejowania, tedy dążyć trzeba do tego, aby uprzywilejowanie ogarniało coraz większą liczbę ludzi.

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ły baterie 58 papp wznosiła się duża cegielnia, na której łopotały chorągiewki wyglądające z daleka na czerwone i biało-czerwone. Nasi nie oczekiwali więc stamtąd niczego złego, zwłaszcza, że między nimi a cegielnią znajdowały się stanowiska baterii 50 pułku haubic. Tymczasem właśnie od strony cegielni spadł na pozycje 58 papp deszcz min moździerzowych. Jedna z nich rozerwała się tuż przy dziale Chudzika. Z całej obsługi tylko Józef Butrym, który leżał właśnie na kole, nie odniósł żadnego szwanku. Ci co klęczeli — Kret, Kubasiewicz, dwaj bracia Czajkowscy — zginęli na miejscu. Sam Chudzik, który trochę z fanfaronady, a trochę rozgrzany przydziałową frontową „setką" dowodził stojąc, dostał 2 większe i kilka mniejszych odłamków w okolicę kręgosłupa i nerek. W pierwszej chwili nie zorientował się, że jest ranny. Sądził, że uderzyła go spadająca gałąź.

— Strzelamy dalej, Józek — krzyknął do Butryma, schylił się po pocisk, ale podnieść go już nie zdołał. Upadł. Szczęściem był w pobliżu lekarz kapitan Śledziewski, obandażował więc działonowego, dał mu laskę z grubej gałęzi i odprawił na punkt opatrunkowy. Chudzik nie doszedłby tam zapewne o własnych siłach, ale pomogli mu dwaj inni artylerzyści, Józef Bzdyra i Piotr Nowak. Choć sami ranni, nie zostawili kolegi, a pół niosąc, pół ciągnąc go po ziemi dostarczyli na punkt. Potem był transport ewakuacyjny i radziecki szpital na wrocławskim Psim Polu, a w nim czwarty — polski — oddział, gdzie wykurowali naszego rannego. Drobniutki odłamek pozostał mu w twarzy do dziś — na pamiątkę z wojny.

Gorzej powiodło się Stachowi Ptakowi. Jak wspomnieliśmy, wracał on ze swoją grupą zwiadu właśnie wtedy, kiedy niemieckie moździerze otworzyły ogień na stanowiska naszych dział. Na przedpolu Ptak dostał odłamkami w okolicę bioder i kręgosłupa. Upadł, a kiedy się ocknął, zobaczył niemieckie czołgi manewrujące tuż obok niego. Jeden „tygrys" trzykrotne przesuwał się obok rannego, a za czwartym razem szedł wprost na niego i kto wie co byłoby dalej, gdyby nasi nie podpalili celnym strzałem stojącej niedaleko cysterny. „Tygrys" zmienił kierunek, by ominąć pożar i dzięki temu Ptak ocalał.

Podpierając się automatem, przeczołgał się zwiadowca na pobliski cmentarz, gdzie stała bateria 50 pułku haubic. Jej obsługi toczyły bezpośrednią walkę z Niemcami. Ptak widział, jak dowódca baterii ręcznym granatem zniszczył niemiecki czołg, stojący tuż za cmentarnym murem i jak sam zginął od wrogiej kuli.

Niemców było coraz więcej i podchodzili coraz bliżej. Nasz ranny ukrył się przed nimi w jakimś grobowcu. Minął dzień, noc, znowu dzień, wyczołgał się Ptak z grobowca, głodny, z gorączką, rozglądnął się dokoła. Słyszy — harmoszka gra, ktoś „Katiuszę" śpiewa — Rosjanie. Podszedł do nich, słaniając się, kuśtykując zarośnięty, tak, że na jego widok młody lejtenant złapał za pistolet.

— Ruki wwierch! Kto ty takoj?

— Słuszaj lejtenant, ja Polak, sojuznik, ranienyj...

— Kakoj ty sojuznik, pierwyj raz wiżu takowo sołdata...

Spostrzegł jednak młody oficer, że istotnie z rannym ma do czynienia, zawołał siostry, by przybiegły z noszami.

— Łożyś na nosiłki, sojuznik...

Wyniosły go na drogę, do biedki, która odwoziła rannych do punktu opatrunkowego. Stamtąd pojechał do szpitala, w którym leżało mnóstwo ludzi różnych narodowości; żołnierze, byli więźniowie i robotnicy przymusowi.

Nie kurował się tam długo. Wkrótce Niemcy podeszli pod szpital i kto mógł uciekał, by nie dostać się w ich ręce. Jego podwieźli kawałek za miasto radzieccy artylerzyści, ale potem musieli zmieniać kierunek jazdy i zostawili go przy drodze, gdzie znaleźli go... nasi, chłopcy z 14 brygady: Kwiatkowski i Marian Kułacz, rodacy ze Stalowej Woli. Skombinowali jakiś wózek, ułożyli na nim rannego i ruszyli przed siebie.

Nie uszli daleko. Nad drogą pojawił się Messerschmidt i zaczął polowanie na wszystko, co się po niej poruszało. Kułacz i Kwiatkowski dali nura do rowu. Ptak został w wózku na szosie, ale tym razem miał szczęście. Niemieckiemu lotnikowi nie udało się trafić w rannego. Po jakimś czasie nasz zwiadowca dostał się znów do radzieckiej kolumny ewakuacyjnej i z niej nareszcie do szpitala.

Tak to ubywali jeden po drugim z szeregów, a jednak brygada, mimo że po Dauban i Budziszynie nie mogła doliczyć się ponad jednej trzeciej swoich żołnierzy, walczyła przecież dalej, stawiając zacięty opór Niemcom.

* * *

Używając oszczędnego, żołnierskiego stylu jej kronikarz pisał o tych dniach:

24 IV 1945 r.

58 papp dowodzony przez kapitana Tokowego otrzymał rozkaz przejścia w rejon płn. zach. Bautzen do dyspozycji 7 Gw. M. K., gdzie otrzymał zadanie zajęcia stanowisk ogn. bez osłony własnej piechoty. N-pl ogniem artylerii współdziałającej z lotnictwem i czołgami zaatakował st. ogniowe pułku. Straty pułku: dział 12, samochodów 17, zabitych i rannych — 36. Pułk wycofał się w rejon 500 m na południowy zachód od Cölln. W czasie walki pułk zniszczył: 2 czołgi, 1 działo samochodowe, około kompanii n-pla.

Pozostałe pułki zajmowały poprzednie stan. ppanc. i odpierały natarcia drobnych grup n-pla.

25 IV 1945 r.

63 papp, osłaniając wycofywanie się piechoty zajął stanowiska w Radibor, a następnie w Luppa. N-pl starając się opanować Radibor, wykonał trzy natarcia piechoty i czołgów. Ataki zostały odparte, przy tym pułk zniszczył 2 czołgi i rozproszył około kompanii piechoty n-pla.

78 papp, osłaniając cofającą się piechotę, zajął stanowiska obronne 1 km na północ od Lomske.

Krystyna Świerczewska

FILOZOFICZNY KRYMINAŁ

BARĆA-IVANA fascynował zapewne teatr egzystencjalistyczny i współczesne mu sartrowskie poszukiwania jego formuły. Jest bowiem nieco analogii do „Drzwi zamkniętych" w „Dwóch"; podobny układ sytuacji, podobne nią ograniczenie wolności człowieka, są echa sławnego camusowskiego wyboru jakości tej wolności, reminiscencje „Upadku", wyraziście zarysowana jałowość egzystencji bohaterów, słowem — jest to wszystko, co składało się na teatr głęboko zaangażowany w rozgrywki intelektualne, typowy dla egzystencjalistów. Ale jest obok tego cała warstwa, nadrzędna w moim pojęciu, fabuły kryminalnej, która rodząc zawiązek moralno-filozoficznych konfliktów, rozbudowana na wzór arcyrealistyczny tworzy w miejsce ścisłej jedności melanż sensacji z filozoficznym traktatem, co, jak powszechnie wiadomo, jest przedsięwzięciem zawsze ryzykownym i mało bezpiecznym dla ogólnego sensu sztuki.

Główna wada konstrukcyjna „Dwóch" polega bowiem na arcyprostym fakcie: przez dwa akty jest to najprawdziwsza sensacja typu „kto zabił?", coś z „Arszeniku i starych koronek" tyle że bez ich pogodnego sceptycyzmu, natomiast akt III, kończący, czyni nagły odwrót od spraw sensacji i zaczyna się traktat ze wszystkimi wyżej pomieszczonymi problemami teatru egzystencjalistów oraz tym naczelnym, inspirującym literaturę od starożytności po dzień dzisiejszy — problemem winy i kary. Ten rozłam, bardzo wyraźny, swą finałową częścią świadczy na pewno o ambicjach autora, daje pewien portret psychiczno-intelektualny Barća-Ivana, pisarza i dramaturga zmarłego przed 15 laty (a więc w czasie, dla którego egzystencjalizm był jeszcze religią), pisarza uznanego za utalentowanego przedstawiciela i twórcę narodowej literatury słowackiej, ale ten rozłam rozbija jednocześnie klarowność treści zamkniętych w „Dwóch", drażni niejednolitością stylu, przynosząc przy tym spadek napięcia dramatycznego w akcie sztukę kończącym.

Jerzy Pleśniarowicz — tłumacz dramatu i zarazem jego reżyser nie miał łatwego zadania w pracy nad „Dwoma" i sądzę, że wszystkie wysiłki jego szły w kierunku zespolenia fabuły i konfliktu rodem z literatury sensu stricto sensacyjnej z konfliktami natury etyczno-filozoficznej. Stara się więc unikać w przedstawieniu sensacji niezdrowej, wypunktowuje momenty wyboru między pełnią człowieczeństwa a pełnią upadku, zaznaczając, że możliwość wyboru zawsze towarzyszy człowiekowi, jest jego wolnością, odpowiedzialnością, a więc tym wszystkim co w działaniu zwanym życiem odróżnia człowieka od człowieka, stanowi o jego sile bądź słabości, podkreśla przy tym odrębność konkluzji Barća-Ivana od formuły sartrowskiej, Barća usiłującego wydobyć z fatalistycznych racji nadzieję i cień optymizmu. Mimo te zabiegi interpretacyjne w spektaklu pozostaje owa dwoistość nader wyraźnie.

Szczęśliwym pomysłem wydaje mi się dążenie do przydania spektaklowi „Dwóch" formy przejrzystej metafory, która poprzez uogólnienie ściera ostre kanty realistycznej opowieści o pewnym nie wykrytym zabójstwie i nieco przygotowuje atmosferę dla aktu III, ważnego, inteligentnie rozegranego zarówno przez autora, jak i przez teatr.

W „Dwóch" gra czwórka aktorów: **Irena Dadun** — rola wymagająca sugestywnej obecności i tę obecność widziałam: **Franciszek Buratowski** — gazda samotny i prawy, zakochany w życiu człowieka poczciwego i rozumiejący motory działań ludzi poczciwych — Buratowski świetnie gazdował w baśniowej chacie i na baśniowej grani, a umierał tragicznie i po bohatersku oraz owi dwaj — **Wincenty Zawirski i Józef Onyszkiewicz** — czyli dwaj cyrkowcy skazani na siebie, połączeni winą w przeszłości, a przyszłość zaczynający z imieniem pozostawionego na progu baśniowej chałupy trupa. Owi dwaj — to smutni bohaterowie sztuki, obaj negatywni, bo obaj w gruncie rzeczy słabi.

Onyszkiewicz robi swego Mauro pod kostium: cherlawy, fatalistycznie przeświadczony o własnej bylejakości, z resztkami sumienia i uczciwości, skrytej pod głęboką warstwą strachu. Ledwie wykorzystuje moment, kiedy zaczyna pojmować nader prostą prawdę, że każdy skazany jest tylko na siebie, kiedy mógłby być silny urodą ludzi wiedzących do czego dążą; nawet w tym momencie pozostaje ofiarą.

Zawirski natomiast panoszy się na scenie krzykliwie, silnie, po prostacku; jest go dużo i jest okazały; zagrał więc swego Augusta świetnie. Demaskując przy tym demonizm postaci, uchronił go od śmieszności, o co przecież nietrudno w roli wcielonego szatana zła, który dysponuje rozumem nader ograniczonym, sumieniem maciopkim i pamięcią zupełnie ludzką.

Napisałam na wstępie o analogiach bacówki z ranchem w Teksasie i myślę, że pora rzecz wyjaśnić: Zawirski i Onyszkiewicz szaleją na scenie w momentach gniewu z nożem w zębach, wcale niemałą ilością efektownych chwytów judo, posapując niczym rozjuszeni traperzy w krwawych rozgrywkach o dziewiczą ziemię Dzikiego Zachodu. Wszystko to razem przyprawia o dreszcz co młodszą widownię i byłoby nawet niezłe, gdyby nie obawa, czy przypadkiem przedmiot sporu — owa filozoficzna zaduma nad duszą ludzką, wolnym wyborem swego losu, starym prawem fatalistycznym, że zbrodnia rodzi zbrodnię, że sumienie jest najdłużej żywe w człowieku — nie ginie w chaosie efektownie splątanych ciał, fruwających pomponów i fruwającego Onyszkiewicza? Ale to już pozostawiam bez odpowiedzi, jako zmartwienie retoryczne... Dodam tylko, że zrodziła je sceneria widowni bardzo młodej, szkolnej, reagującej z niesłychanym skupieniem na spektakl, podnieceniem na bójki, co z jednej strony wymaga oddania jej publicznej satysfakcji, a z drugiej rodzi niespokojne pytanie, czy wybór akurat tej sztuki był wyborem właściwym i najstosowniejszym dla niej?

Teatr im. W. Siemaszkowej: Julius Barć-Ivan — „Dwaj". Przekład ze słowackiego: Jerzy Pleśniarowicz. Reżyseria: Jerzy Pleśniarowicz. Scenografia: Andrzej Stopka. Asyst. reż.: Franciszek Buratowski. Osoby: Franciszek Buratowski (Stary), Wincenty Zawirski (August), Józef Onyszkiewicz (Mauro), Alina Dadun (Ona). Premiera 11 lipca 1968 r.

„Dwaj" — Barća-Ivana w Teatrze im. W. Siemaszkowej; August — Wincenty Zawirski, Mauro — Józef Onyszkiewicz. Fot. M. MYSZKOWSKI

„Sąsiedzi" — film o wrześniu 1939 r.

Bohaterska walka i martyrologia narodu polskiego w okresie II wojny światowej — to temat, który z pewnością często jeszcze będzie powracał w polskim filmie. Okresowi temu — a ściślej jednemu z tragicznych epizodów września 1939 r. — poświęca swój nowy utwór reżyser Aleksander Ścibor-Rylski, który przenosi na ekran własny scenariusz pt. „Sąsiedzi".

Akcja filmu toczy się w Bydgoszczy i nawiązuje do pamiętnych wydarzeń, które rozegrały się w tym mieście, kiedy hitlerowska V kolumna przystąpiła do starannie przygotowanej zbrojnej dywersji. Spontanicznie zorganizowaną samoobronę bydgoszczan propaganda goebbelsowska nazwała później „krwawą niedzielą", mającą symbolizować rzekomo polskie okrucieństwa i skorzystała z tego pretekstu do rozpętania bestialskiego terroru, którego ofiarą padły tysiące Polaków.

Zamiarem twórcy nie jest jednak wyłącznie rekonstrukcja wydarzeń historycznych sprzed 29 laty. Film pomyślany jest jako utwór psychologiczny, którego akcja rzucona jest na maksymalnie wiernie odtworzone tło wrześniowych dni. Będzie to film o mieszkańcach miasta, których hitlerowska prowokacja uczyniła wrogami. Scenariusz zawiera liczne wątki ukazujące stosunki polsko-niemieckie panujące w Bydgoszczy i na Pomorzu.

Pisząc scenariusz A. Ścibor-Rylski nawiązał do wydarzeń, które przeżył sam w dzieciństwie. Mieszkał na Pomorzu i wraz z matką i siostrą znalazł się 3 września w Bydgoszczy, a więc w dniu, gdy niemieccy dywersanci przystąpili do ataku mającego na celu odcięcie odwrotu wycofujących się wojsk polskich. Widział, jak mieszkańcy miasta skupieni w oddziałach „Straży obywatelskiej — harcerze, uczniowie gimnazjalni, kolejarze, pocztowcy przeciwstawiali się akcji wroga, jak później stawiali opór wkraczającym regularnym oddziałom armii niemieckiej.

„Sąsiedzi" — mieć będą 2 serie. Główni bohaterowie — to młody licealista Polak, Piotr i 16-letnia Niemka Anna-Maria, którzy przeżywają swą pierwszą miłość. W ich rolach wystąpią: Evelyn Opoczynsky, 18-letnia studentka berlińskiej Szkoły Teatralnej i Jerzy Matałowski — student Szkoły Teatralnej i Filmowej w Łodzi.

(Kt-PAP)

---

58 papp cofnął się w rejon Luppa, gdzie zajął stanowiska obronne.

W walkach odznaczyli się: z 63 papp ppor. Wyszogrodzki, por. Połuchin, ppor. Tarka (lekarz pułku), bomb. Marecik (cel. z 4 bat.).

26 IV 1945 r.

W ciągu dnia 58 i 63 papp odparły dwa natarcia piechoty wspartej czołgami w rej. Luppa, niszcząc 4 czołgi, dwa samochody panc. i około 2 kompanii piechoty n-pla.

78 papp odparł dwa natarcia czołgów w rej. Lomske, niszcząc 2 czołgi i 2 działa samochodowe.

W walkach odznaczyli się: z 58 papp — kan. Paraskiewa, kpr. Szudrała, bomb. Pruchniak; z 63 papp — ppor. Sajenko, chor. Ciołek, ogn. Szymanowicz, chor. Lichodiedow, kan. Stanisławski; z 78 papp — bomb. Ciałaka, bomb. Wronka.

27 IV 1945 r.

Na podstawie rozporządzenia bojowego D-twa Arylerii 2 Armii WP nr 014 z 27 IV 1945 r. Brygada zajęła stan. obronne: 58 papp — płd. skraj lasu na wschód od Zescha, 63 papp — płd. Zescha, 78 papp — rej. st. kolejowej Zescha i odpierała natarcia drobnych grup n-pla.

28 IV 1945 r.

78 papp uzupełnia ludźmi i sprzętem 63 papp, który pozostaje na swych stanowiskach; sztab Brygady i 58 papp przechodzą na południowy skraj Königswartha.

* * *

Każde zdanie tej kroniki to cała epopeja walki, żołnierskiego wysiłku, wojennych dramatów. Nie inaczej bowiem można nazwać boje 58 pułku na północno-zachodnim skraju Budziszyna, kiedy tuż za plecami artylerzystów, w pobliskim Kleinweika znajdował się cały sztab 2 Armii i punkt obserwacyjny gen. Karola Świerczewskiego. Bez osłony ze strony piechoty, atakowani z ziemi i z powietrza przeciwpancerniacy trwali, a choć ponosili duże straty, powstrzymali przecież Niemców na swoim odcinku. Na innych taki sam opór stawiali czołgiści, artylerzyści innych jednostek, piechurzy 34 pułku, których w pewnym momencie poprowadził do walki sam Świerczewski. Wojska Schoernera straciły cały dzień, nie osiągając zamierzonego celu, a nazajutrz natknęły się na nową polsko-radziecką linię obronną.

Na innym ważnym kierunku niemieckiego natarcia bronili przepraw przez Szprewę w rejonie Niedergurig żołnierze 63 papp, niedaleko nich stawiali przeciwnikowi opór artylerzyści 78 papp.

W tych dniach na odcinku 2 AWP jednolita i trwała linia frontu praktycznie nie istniała. Armia toczyła walki na różnych kierunkach. Jej jednostki odpierały ataki wroga z różnych stron. Unikając okrążeń, czasem przebijając się przez oskrzydlającego je nieprzyjaciela, walczące pod Budziszynem oddziały cofały się wolno na północ, ale Niemcy drogo płacili za każdy kilometr zdobytego terenu. Impet ich natarcia słabł, malał, aż wreszcie w dniach 28 — 29 kwietnia utknęło ono zupełnie. 2 AWP zajęła pozycje frontem na południe, wyrównała swój odcinek, by w pierwszych dniach maja ruszyć znów naprzód. Wespół z oddziałami Armii Radzieckiej polskie wojska uczestniczyły w wyzwalaniu terenów bratniej Czechosłowacji, wychodząc aż na przedpola stolicy tego kraju.

* * *

Wojna skończyła się. Brygada wróciła do swego garnizonu nad Pilicę. Jej żołnierze zebrali z pól łużyckich swoich poległych kolegów, których pochowano bądź na cmentarzu w Zgorzelcu, bądź przywieziono do Tomaszowa. Przyszedł wreszcie czas pożegnać się z mundurem. Wprawdzie wielu artylerzystów pozostało nadal w wojsku, ale większość wróciła do swych poprzednich zajęć. Powrócili także w swoje rodzinne strony żołnierze z Niska i okolic: Władysław i Kazimierz Wernerowie, Józef Dąbek, Piotr Gorczyca, Franciszek Warchoł, Władysław Wolicki, Władysław Sądej, Józef Surowiec, Jan Pietrucha, Franciszek Moskal i wielu innych, których nie sposób tu wyliczyć.

Pożenili się, dochowali dzieci, które stanowią dziś ich dumę, rosną w jakże innych warunkach niż kiedyś oni sami. Wincenty Chudzik ma dwoje dzieci uczęszczających do 6 i 7 klasy szkoły podstawowej, dwójkę ma Strażan i Leopold Jurek (jedno już po maturze, drugie uczy się w technikum chemicznym), Watras ma córkę w stalowowolskim technikum, jednego chłopca w zasadniczej szkole zawodowej, a drugiego w 8 klasie szkoły podstawowej, a Ptak zdążył już wydać córkę za mąż, a trójkę pozostałych pociech kształci w różnych szkołach.

Najbardziej romantycznie chyba założył rodzinę Adam Jurek, który żonę znalazł... na bojowym szlaku brygady. Poznał ją pierwszego dnia pobytu w Tomaszowie. Wyjeżdżali wtedy zziębnięci i wygłodniali po długim marszu z Radomia, kiedy przed apteką na ulicy Spalskiej zobaczył dziewczynę przyglądającą się ciągnącym kolumnom. Była tak śliczna, że grzechem byłoby nie zatrzymać się. W aptece znalazły się rozgrzewające „kropelki" i... pistolet przechowywany przez właściciela całą wojnę i podarowany pierwszemu polskiemu żołnierzowi. No i przede wszystkim przyciągające jak magnes oczy młodziutkiej brunetki. Było potem kilka wizyt przed wyjazdem na front, znacznie więcej po szczęśliwym powrocie z wojny, a w 1951 roku panna Janina została panią Jurkową i przeniosła się do Niska. Córeczka państwa Jurków ukończyła właśnie 2 klasę szkoły podstawowej, a syn uczęszcza do liceum.

W pokojowej pracy weterani 14 Sudeckiej Brygady Artylerii Przeciwpancernej są równie obowiązkowi jak kiedyś w wojennej służbie ojczyźnie. Choć żyją nowym, innym życiem często wracają pamięcią do dawno przeżytych chwil. Wspominają frontowe przyjaźnie, radzieckich towarzyszy broni, oficerów — dowódców, kolegów, którzy zostali na polach pod Dauban, Niesky, Budziszynem, Zescha. Myślą o dniach, w których dokonywało się — jakże do ostatka drogo okupione krwią — zwycięstwo i wytyczały granice Ludowej Rzeczypospolitej. Chcą byśmy pamiętali o tych dniach wszyscy.

WITOLD SZYMCZYK

Justyna Woś

TWÓRCZOŚĆ NA WAGĘ

Rzecz wypada zacząć od anegdoty, która mówi o nim, że zapisał stosy brulionów, nagromadził tego tak dużo, iż na ilościowe ocenienie potrzeba kilogramowych odważników. Ta wiadomość wzbudza niewątpliwie intrygującą ciekawość, nic więc dziwnego, że chciałoby się ją jak najszybciej zaspokoić. Z odnalezieniem osobliwego etnografa i potrosze poety ludowego nie było kłopotu. Niespodziewana wizyta zaskoczyła go przy pracy w polu, co nie przeszkodziło, aby wkrótce miało się potwierdzić polskie przysłowie „czym chata bogata..." Gospodyni domu gościnnie się zakrzątnęła, gospodarz tymczasem wyciągnął z szafki duży pakiet obwiązany sznurkiem i przez chwilę ważąc w ręce odpowiedział na wcześniejsze aluzje:

— W tym, co się mówi, jest trochę przesady, ale ze dwa kilo to tu będzie!

Charakterystyczny i swoisty sposób traktowania efektów swojej zamkniętej w kilkudziesięciu latach pracy miało w sobie coś przekornego, zarazem zmieszanego ze satysfakcją. Autor nie zaniża wartości tego co zrobił, ale skoro tak się składało, że nie mógł długo trafić na mecenasa, który zastosowałby „poważniejsze" kryteria oceny, pozostawała „waga". Jedyny wyjątek stanowiły wiersze, które pisał na różne okazje i jubileusze — te od razu zdobyły sobie uznanie wsi i rozsławiły w okolicy nazwisko Walentego Kunysza. Ale to nie wystarczyło autorowi. Wreszcie przypadek dał szansę urzeczywistnienia pragnień. W latach trzydziestych ogłosił ksiądz z ambony, aby chłopi znosili dawne pieśni, opisy obyczajów etc., bo były one komuś potrzebne do pisania historii wsi Kraczkowej. Takiego ogłoszenia nie trzeba było drugi raz ponawiać. Wśród pierwszych chętnych znalazł się oczywiście Walenty Kunysz, ale lekceważąca odprawa duchownego podrażniła jego ambicję, a chłopski upór nakazał udowodnić, co potrafi. Mijały lata żmudnej zbieraniny, podstępnych i cierpliwych wywiadów z tymi, którzy pamiętali najdawniejszą przeszłość, w końcu i osobiste spostrzeżenia z lat dziecinnych — dały bogaty plon pieśni i opisy obrzędów, zagadek i przysłów ludowych, porzekadeł i myśli chłopskich. Bystry obserwator i skrupulatny zbieracz, mając już do dyspozycji taki materiał, chciał go właściwie wykorzystać. W 1936 r. ukończył pisanie opowieści „Z życia praojców", a wcześniej jeszcze przygotował pierwszą redakcję sztuki „Wesele kraczkowskie" — pomyślanej, jako barwne widowisko wszystkich obrzędów, od zalotów przez wiechowiny, wyprosiny — do oczepin. Przez kilka następnych lat rękopisy przeleżały w zapomnieniu i kurzu na strychu, dopiero groźba ciężkiej choroby zmusiła Kunysza do porozumienia się z kimś, kto zaopiekowałby się pracą o niebagatelnej wartości. Napisał więc do interesującego się folklorem prof. Bujaka z Uniwersytetu Lwowskiego, przekazując mu opowieść. Pierwsza odpowiedź w 1939 r. ze Lwowa przyniosła otuchę, profesor uznawał bowiem „Życie praojców" za utwór o niewątpliwych walorach naukowych i podkreślił barwność relacji dzięki umiejętnemu pleceniu przysłów, pieśni, zabobonów itp. Na drugą odpowiedź musiał czekać Kunysz przeszło 5 lat. Spotkanie z prof. Bujakiem załamało autora; wojna nie oszczędziła nawet jego opowieści rozpisanej w około 20 zeszytach...

Niełatwo jednak uwolnić się od pisania, kiedy jest ono

nie tylko ambicją, ale potrzebą. Tworzenie wierszy okzjonalnych mógł nadal traktować jako „wprawki rymotwórcze", ale pragnienie pozostawienia czegoś większego dla przyszłych pokoleń odżyło ze wzmożoną siłą. W 1955 r. napisał pamiętnik, w tym czasie doczekało się także „Wesele kraczkowskie" scenicznej realizacji i występy zespołu z Kraczkowej na różnych konkursach przyniosły niepodważony sukces. Dzięki scenariuszowi Kunysza mogła się pochwalić wieś rodzinnym zwyczajem weselnym przed międzynarodową publicznością podczas Festiwalu Młodzieży i Studentów (Warszawa 1955).

Zebrane jeszcze kiedyś przysłowia i porzekadła wysłał prof. J. Krzyżanowskiemu, który przygotował niezwykle ciekawą książkę „Mądrej głowie dość dwie słowie", zawierającej pół tysiąca przysłów — a w kodyfikacji ich miał też skromny udział rolnik z Kraczkowej.

Nic jednak bardziej nie pasjonowało W. Kunysza, jak praca etnografa. Mając już doświadczenie w tej dziedzinie na nowo gromadził, selekcjonował i sporządzał logiczny układ zapisów. Każda pieśń, każda zagadka, każda myśl i wiersz miały swoją metryczkę „co, gdzie, kiedy". I mógłby już ku zadowoleniu i dopełniania satysfakcji kontynuować pracę pisarską w zimowe wieczory, wolne od zajęć gospodarskich, obmyślić kształt i formę utworu, gdyby nie pojawiła się pani oferująca swoją fachową radę. Wzięła bruliony i po latach okazało się, że za ich pomocą napisała pracę naukową, Kunyszowi przyznając miejsce w przypisach. Nietrudno wytłumaczyć sobie żal zbieracza, który w swojej naiwnej wierze sądził, że w całej tej sprawie chodzi o opublikowanie jego trudu, a nie potraktowanie go, jako jednego z wielu informatorów, których zresztą on wskazał.

— Wiem, że pani X nie napisałaby tak szybko tej pracy. Trudno jest zdobyć zaufanie wsi. Ja jestem chłopem, a ile to razy musiałem stosować sposoby rozmów przy ćwiartce wódki. Wtedy dopiero zaczęli mi opowiadać i wspominać dawne dzieje, deklamować wiersze nigdzie nie zapisane i śpiewać pieśni, do których nie było nut...

Niedawno wydana została „Antologia współczesnej poezji ludowej" pod redakcją Jana Szczawieja. Jest tam wiersz, który można potraktować, jako małą autobiografię Kunysza. „Nie jestem przecie z talentem poetą", są też zgrabne „myśli chłopskie" tegoż autora. Na zakończenie chciałabym przytoczyć charakterystyczny dwuwiersz z myśli:

U Polaków słomiany zapał
prędko gaśnie
Ale wnet się rozpala,
by zapłonąć jaśniej.

Można by dyskutować o trafności spostrzeżenia i jego uogólnieniu, ale w wypadku autora należy podziwiać — mimo wielu niepowodzeń — pęczniejący entuzjazm do uroków folkloru, któremu tyle czasu poświęcił. Wszystko, co stworzył jest godne szacunku, chwali się więc decyzję Lubelskiego Wydawnictwa Ludowego, które zamierza jeszcze w tym roku opublikować „obrzędy weselne". Będzie to chyba najpiękniejszy upominek na 70 urodziny kraczkowskiego etnografa.

Ryszard Dzieszyński

„DZIEJE W JEDNEJ

DRUGA połowa XIX wieku i początek XX w. były okresami nasilonej aktywności producentów i handlarzy alkoholem na terenie powiatu tarnobrzeskiego, który jakoś dotychczas miał szczęście być przez nich omijany, a w każdym razie — obdarzony mniejszą uwagą. Ale w miarę, jak rynki zbytu uległy nasyceniu, zaczęto coraz częściej spoglądać na ziemie leżące w ujściu Sanu do Wisły. Były to tereny biedne, o glebie mało urodzajnej, jednakowoż zainteresowani doszli do wniosku, że i stamtąd da się trochę grosza wycisnąć. Prym w tej akcji wiedli przedstawiciele żydowskiej burżuazji. Dodajmy jednak, gwoli sprawiedliwości, że miejscowi właściciele ziemscy nie byli od nich lepsi, bo to przede wszystkim oni sprowadzali arendarzy do swoich posiadłości i budowali dla nich karczmy, licząc że wyciągną od swych byłych poddanych trochę pieniędzy. Skutek ekspansji „przemysłu" alkoholowego był taki, że wódka stała się nieodzownym atrybutem chłopskiej egzystencji. Pamiętnikarz Jan Słomka zauważył kiedyś, że żadne wydarzenie we wsi nie mogło obejść się bez alhokolu, obojętnie czy było to wesele, chrzciny czy pogrzeb. Wódka była artykułem pierwszej potrzeby, można ją było dostać w każdym sklepiku.

Po 1863 roku zjawiskiem nowym w życiu powiatu tarnobrzeskiego stał się przemyt trunków za kordon. Handlarze dowozili rum i śliwowicę całymi furami do wiślanego brzegu, gdzie stała karczma Berka. W nocy Berek wysyłał je na drugi brzeg, płacąc przemytnikom 5 złotych reńskich za kurs. Strażnicy rosyjscy byli przekupieni i strzelali tylko na postrach. Jeśli nie byli przekupieni, zadowalali się tym, że przemytnicy porzucali towar przy pościgu. Wytaczali wódkę z baryłek, nalewali wody oraz trochę alkoholu, tak aby było czuć jego zapach i oddawali komendanturze w Sandomierzu jako złapaną kontrabandę. Sami również korzystali z uciech, jakich dostarczała karczma Berka. Nieraz przeprawiali się na drugą stronę i wypijali morze wódki, biorąc jeszcze po parę butelek na drogę. Potem jednak zaostrzono kontrolę i przemytnictwo ustało, wskutek czego karczma stała się deficytowa i musiała ulec likwidacji. Słomka plastycznie opisuje jej koniec. W karczmę strzelił piorun, od którego zawalił się komin. Karczmarz uciekł przerażony i już więcej nie wrócił, więc wkrótce budynek rozebrano.

Tenże Słomka stwierdził, że w samym Tarnobrzegu było 10 „lichutkich" sklepików, w których można było dostać jedynie obarzanki, bułki, ser, śledzie, sól, tytoń, zapałki, igły i tasiemki — ale i tak tego towaru było niewiele — tyle, co w skrzyni schowanej za szynkwasem. Natomiast szynków w Tarnobrzegu nie brakowało. Jest w tym coś symbolicznego, że nawet wesele nie mogło obejść się bez uprzedniego błogosławieństwa karczmarza, witającego zajeżdżający przed karczmę orszak weselny flaszką wódki, z której po kieliszku każdemu nalewał. Wódkę dawano pić nawet małym dzieciom. Panowało powszechne przekonanie, że jeśli ktoś uczestniczył w zabawie ludowej, to „jak se nie popił, to się nie zabawił".

Kościół usiłował przeciwdziałać inwazji alkoholizmu poprzez usta swoich kaznodziejów oraz różne święte misje. W 1869 r. ludność powiatu zebrana na polach koło Tarnobrzega uroczyście przysięgała, że nie weźmie odtąd alkoholu do ust. Ale już w tym samym dniu, po odpuście stwierdzono, że karczmy w całej okolicy były przepełnione. Widać Kościół w tych sprawach miał na swe owieczki wpływ zgoła minimalny, zwłaszcza że zdarzały się wypadki, iż ksiądz proboszcz partycypował w zyskach miejscowej karczmy.

Zgubnym wpływom karczmy na społeczność wiejską usiłowali się przeciwstawić co niektórzy bardziej światli chłopi. Wśród nich wyróżniał się Wojciech Wiącek, urodzony w 1869 roku, włościanin z Machowa, działacz społeczny z powołania. Mając 17 lat, zorganizował Towarzystwo Bratniej Pomocy, zrzeszające powodzian. Przystąpiło do niego 30 młodych ludzi. Starzy gospodarze zaśmiewali się ze zrzeszonej „smarkateril", ale wkrótce zorientowali się w opłacalności stowarzyszenia i zaczęli powoli sami przystępować. Niedługo Towarzystwo osiągnęło liczbę 3 tysięcy członków i miało 14 oddziałów w powiecie. Zostało potem przemianowane na Kasę im. Stefczyka. W 1887 roku Wiącek zorganizował czytelnię rolniczą, a w rok później — Kółko Rolnicze wraz ze sklepem.

Przez pewien czas zajmował się kontrabandą polskich książek za kordon. Brał udział w uroczystościach sprowadzenia zwłok Mickiewicza do Polski. Po powrocie z Krakowa, wpadł na pomysł urządzenia „żywych obrazów", przypominających sławne bitwy w dziejach Polski. Największym jego sukcesem na tym polu było zainscenizowanie bitwy pod Racławicami na błoniach koło Tarnobrzega, w której to inscenizacji brało udział 5 tysięcy osób! Sam Więcek grał w niej rolę... Kościuszki.

Miał wtedy 21 lat i marzył o karierze wojskowej. Akurat został

Wychowanie patriotyczne młodzieży

Kilkuletni wzmożony wysiłek na odcinku wychowania młodego pokolenia dał już wiele widocznych rezultatów, zwłaszcza na odcinku wychowania patriotycznego młodzieży. Aby ten wysiłek i dorobek nie został zapomniany i zmarnowany, redakcje „Głosu Nauczycielskiego", „Żołnierza Wolności" i „Żołnierza Polskiego" zorganizowały w 1966 r. pod patronatem Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego i Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego wielki konkurs na prace na temat: „Jak rozwijam w swojej pracy wychowawczej patriotyzm młodzieży". Konkurs przyniósł bogaty plon w formie nadesłanych prac konkursowych, których autorami byli obok wychowawczyń przedszkoli nauczyciele szkół ogólnokształcących, podstawowych i średnich zawodowych i wyższych oraz oficerowie i podoficerowie sprawujący funkcje wychowawcze w szkołach i jednostkach wojskowych.

Dorobek konkursu został dobrze wykorzystany, czego dowodem jest między innymi bardzo pożyteczna publikacja Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej pt. „Wychowanie patriotyczne młodzieży", której pierwsze egzemplarze znalazły się na terenie naszego województwa.

Autor tej publikacji, Kazimierz Wojciechowski, dał we „Wstępie" informacje o konkursie i jego wynikach; sam dorobek konkursu zaprezentował w siedmiu rozdziałach swej książki.

Po przedstawieniu w sposób wyczerpujący w rozdziale pierwszym swej pracy pojęcia i treści wychowania patriotycznego w następnym rozdziale ukazał on i scharakteryzował takie zasady wychowania patriotycznego, jak zasada dostosowywania środków i metod oddziaływania do wieku młodzieży i warunków środowiskowych; zasada planowości i systematyczności oddziaływań; zasada więzi między przeszłością i jej postępowymi tradycjami a współczesnym życiem i praca narodu oraz zasada osobistego przykładu nauczyciela i wychowawcy.

Na treść trzeciego rozdziału książki Wojciechowskiego składają się obszerne informacje o metodzie i środkach wychowania patriotycznego na zajęciach lekcyjnych. Informacje te uzupełniają liczne przykłady ich stosowania, zaczerpnięte z prac konkursowych. Dużo praktycznych wskazówek mogą zaczerpnąć w tym rozdziale nie tylko nauczyciele języka polskiego i historii, ale także nauczyciele innych przedmiotów i prowadzący tzw. godziny wychowawcze. Rozdział zamykają uwagi o osiąganiu dobrych wyników w nauce, jako pierwszym patriotycznym obowiązku młodzieży.

Czwarty rozdział książki autor przeznaczył na omówienie środków, metod i form wychowania patriotycznego młodzieży na zajęciach pozalekcyjnych. W rozdziale tym podał liczne przykłady zastosowania różnorodnych form pracy pozalekcyjnej z młodzieżą szkół średnich, wykorzystania wycieczek i pracy szkolnych kół turystyczno-krajoznawczych, szkolnego koła przyjaciół ZSRR i czytelnictwa.

Współpraca szkół z jednostkami wojskowymi w pracy wychowawczej zwłaszcza na odcinku wychowania patriotycznego młodzieży może dać i daje dobre wyniki, dlatego temu zagadnieniu autor omawianej książki poświęcił jeden z rozdziałów. Swoje rozważania teoretyczne uzupełnił, podobnie jak to czynił w poprzednich rozdziałach, licznymi przykładami zaczerpniętymi z prac konkursowych.

Patriotyzm młodzieży przejawia się między innymi w jej stosunku do miejsc uświęconych walką i męczeństwem Polaków. Kształtowanie właściwego stosunku do ludzi, którzy walczyli o naszą ojczyznę i którzy za nią oddali swe życie, opieka nad miejscami walki i męczeństwa — to problem, którym zajmowali się liczni autorzy prac konkursowych. Temu zagadnieniu dużo uwagi poświęca również autor książki „Wychowanie patriotyczne młodzieży" w jednym z rozdziałów końcowych swej pracy.

Postawa patriotyczna młodzieży nie może wyrażać się tylko w uczuciach w stosunku do przeszłości naszego narodu. Musi ona być także zadokumentowaniem w jej stosunku do pracy całego społeczeństwa polskiego, do wszystkich problemów, którymi żyje najbliższe środowisko i cały kraj. Młodzież musi czuć się współodpowiedzialna za losy swej rodzinnej miejscowości, regionu i całego kraju. Kształtowanie właściwego stosunku do współczesnej rzeczywistości odbywa się między innymi przez udział młodzieży w pracach społecznych. Praca społeczna młodzieży, jej organizacja i wykorzystanie w wychowaniu to zagadnienie, któremu Wojciechowski poświęcił ostatni rozdział książki.

Wartość książki Wojciechowskiego jest duża, dlatego zasługuje na baczną uwagę nauczycieli i wszystkich ludzi, którzy zajmują się wychowaniem młodego pokolenia. Może ona stać się dobrym przewodnikiem metodycznym przy planowaniu i podejmowaniu pracy wychowawczej.

FRANCISZEK ŚWIDER

KARCZMY WSI..."

powołany do służby w armii Najjaśniejszego Pana. Wrócił z wojska głęboko rozczarowany. Swe wrażenia opisał potem w zjadliwej broszurze pt. „Jakie wojsko takie państwo", w której wręcz wyśmiał zdemoralizowany korpus podoficerski CK armii. Główną przyczyną tego stanu rzeczy była wedle Wiącka — wódka. „Aby udobruchać kaprali — pisał — kupowano im wódkę. Rozmiękczała ona serca i sumienia wszystkich rozkazom, ustawom, instrukcjom, frajtrom i kapralom. Wódka ratowała od kar, podczas ćwiczeń, a nawet podczas wojny, od pola i śmierci".

Po powrocie z wojska Wiącek nadal zajmował się pracą społeczną. Pokrył powiat siecią czytelni ludowych, ochotniczych straży pożarnych, założył spółdzielnię mleczarską i piekarską, Powiatową Kasę Oszczędności, Towarzystwo Handlowo - Przemysłowe „Bazar", a także Biuro Pośrednictwa Pracy. Było ono prowadzone tak uczciwie, że przyjeżdżali do niego na naukę pracownicy z innych biur. Oprócz tego Wiącek redagował i wydawał pismo „Głos Ziemi Sandomierskiej", w którym bezustannie lansował dwie idee: zjednoczenia wszystkich stronnictw ludowych oraz bezwzględnej walki z pijaństwem.

Krajanie wybrali go w 1907 roku do austriackiej Rady Państwa oraz do Rady Powiatowej. W parlamencie Wiącek zajął się zwalczaniem pijaństwa i karczem, wskutek czego zyskał sobie wielu przeciwników, wśród sfer żyjących z produkcji i sprzedaży alkoholu. Jego kandydatura została utrącona w następnych wyborach na rzecz niejakiego Kanarka, przedstawiciela żydowskiej burżuazji, nie wiadomo z jakiej racji popieranego przez PSL Stapińskiego.

Mimo to Wiącek nie złożył broni. W 1919 roku wydał broszurę pt. „Sodoma i Gomora, czyli dzieje karczmy w jednej wsi", poprzedzoną wstępem Ferdynanda Kurasia.

Kuraś był przysięgłym wrogiem alkoholizmu. Mając ojca pijaka, odczuł na własnej skórze, jakie nieszczęścia niesie za sobą wódka. Do końca życia pozostał abstynentem i zawsze wzbraniał się przed wypiciem chociażby kieliszka. Natarczywie częstującemu czeladnikowi — kiedy terminował jeszcze u szewca — Kuraś wolał chlusnąć wódką w twarz niż wypić, mimo iż bał się silniejszego i rozsierdzonego kolegi.

W przedmowie Kuraś podkreślił społeczny i wychowawczy walor książeczki oraz zalety stylu autora, który plastycznie potrafił pokazać czytelnikom, jakie skutki niesie ze sobą alkohol.

„Dzieje karczmy w jednej wsi..." Autor nie podał, o którą tu wieś chodzi, ale nie ulega wątpliwości, że leżała ona w powiecie tarnobrzeskim.

Działo się to jeszcze w I połowie XIX wieku. Dziedzic postawił we wsi karczmę. Wkrótce sprowadził Żyda — arendarza oraz zakupił duży transport ziemniaków z Prus, po czym karczmarz przystąpił do produkcji okowity. Polegało to na tym, że ugotował ziemniaki, niemal do stanu kompletnego rozmiękczenia i wydzielającą się parę puszczał przez rurę zanurzoną w zimnej wodzie. Para skraplała się i w wyniku tego procesu powstawała okowita. Po wyprodukowaniu pewnej ilości, arendarz na polecenie dziedzica zwołał wszystkich chłopów ze wsi i urządził bezpłatną degustację. Ale chłopi sądząc, że to jakaś trucizna, odmówili picia. Karczmarz przywołał wtedy psa i jemu dał się napić. Ale pies również nie chciał pić i uciekł wyjąc ze strachu. Chłopi widząc reakcję psa, przeżegnali się i rozbiegli do domów.

Karczmarz nie załamany niepowodzeniem złapał psa, zamknął go na 3 dni w komórce bez jedzenia i następnie znowu zwołał chłopów, twierdząc, że tym razem pies nie będzie się wzbraniał. Podał mu chleb umoczony w okowicie. Pies był głodny, więc z niejakim ociąganiem przełknął parę kęsów. Ale zaraz potem zaczął wyć i skakać, wreszcie położył się i zasnął. Chłopi myśleli, że tym razem karczmarz na dobre otruł psa, ale zwierzę po pół godziny zerwało się i zaczęło uciekać. Wieśniacy w dalszym ciągu nie dali się przekonać, zwłaszcza że co bardziej odważni, którzy skosztowali okowity, twierdzili, że jest gorzka i śmierdzi. Ale dziedzic zagroził, że jeśli chłopi nie zakupią w karczmie przynajmniej kwarty wódki miesięcznie, będą ukarani odebraniem żaren do mlenia ziarna. Sterroryzowani włościanie musieli kupować wódkę, w dalszym jednak ciągu nie pili jej, tylko wylewali pod płot i pod wierzbę. Na wiosnę okazało się, że w miejscu, gdzie wylewano okowitę, nic nie chciało róść. ziemia była wypalona i wyjałowiona, a wierzba uschła. Chłopi nieprzejednanie trwali w swym uporze, ale karczmarz wpadł na pomysł, aby okowitę mieszać z miodem — w ten sposób traciła niemiły smak i zapach. Wynalazek ten przekonał wreszcie chłopów, którzy od tej pory coraz częściej zaczęli odwiedzać karczmę. Zadowolony dziedzic przyznał arendarzowi specjalną premię. Później jednak okazało się, że częste wizyty wieśniaków w karczmie źle wpływają na odrabianie pańszczyzny, ponieważ niektórzy bywalcy karczmy miewali na drugi dzień tzw. katza i byli mniej wydajni podczas pracy „na pańskim". Dziedzic zakazał przeto bywać w karczmie w dni robocze. Za to w niedziele ruch był wzmożony. Chłopi rano przychodzili do karczmy, gdzie pili do południa, a potem szli do domu, kupując wódkę, którą gotowali (tzw. przepalanka). Po takich końskich dawkach spali potem cały wieczór. Karczma miewała takie obroty handlowe, że arendarz kupił dzieciom majątek ziemski w sąsiednim powiecie, a dziedzic, który też czerpał zyski z propinacji — wybudował murowany piękny pałac i nowe zabudowania gospodarcze, łącznie z nowocześnie wyposażoną gorzelnią.

Jednocześnie na wsi zachodziły inne, zrazu niedostrzegalne zmiany w psychice włościan. Rozpijaczeni chłopi stawali się leniwi, pracowali mniej wydajnie i niedbale, wzrosła ilość przestępstw. Odbiło się to w sposób decydujący na samym sprawcy wszystkich tych zmian — dziedzicu. Oto pewnej nocy zapaliły się zabudowania gospodarcze i spłonęły doszczętnie. Pożar spowodowali pilnujący parobcy, którzy w tym czasie raczyli się wódką i nie dość dokładnie spełniali swoje obowiązki. Pogorzelec chcąc naprawić szkody, musiał zaciągnąć pożyczkę u swego... karczmarza. Wysoki procent, który musiał spłacać, stał się przyczyną jego ostatecznego bankructwa. „Jego syn donosił Wiącek — nie jest już dziedzicem. Jest finanzwachem na komorze celnej".

Ale karczma została. Nowy właściciel ziemski rozpoczął z nią walkę, w taki jednak sposób, że postawił swoją. Żyd — arendarz miał jednak większe wpływy i z kolei on zbudował nową karczmę, która skutecznie zwalczała konkurencję karczmy szlacheckiej. Walczyły tak ze sobą dwie potęgi miejscowe, a jedynym skutkiem był raptowny wzrost liczby karczem w okolicy. I tak, w jednej wsi stanęło 7 karczem — niewiele mniej niż w mieście powiatowym Tarnobrzegu.

„Wódka wkroczyła w obyczaje wsiowe — pisał Wiącek. Na chrzciny, na święta religijne. Wódka przytępiła uczucia ludzkie i doprowadziła ludzi do zezwierzęcenia. Wódka największa protektorka!"

Broszura Wojciecha Wiącka była jakże wymownym oskarżeniem współczesnych stosunków feudalno -burżuazyjnych na wsi polskiej. Przez całe swoje życie walczył on z tymi stosunkami. Szukał sojuszników wśród różnych ugrupowań politycznych, był bałamucony przez kler i endecję, a potem — w czasach II Rzeczypospolitej, jako poseł do Sejmu — przez sanację. Wojciech Wiącek stanowi ciekawy przykład chłopa działacza, który szczerze kochał wieś i pragnął polepszenia losu jej mieszkańców i który mimo, iż jego poglądy polityczne dalekie były nieraz od lewicowych — na pewno walnie przysłużyły się swojemu ukochanemu regionowi i zawsze pozostał owym zaradnym, uczciwym i gospodarnym włościaninem z Machowa.

Zespół akordeonistów Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej II stopnia w Przemyślu.
Fot. Z. POSTĘPSKI

Rozbawiona grupa maluchów spoważniała, gdy pani zaczęła rozdawać triangle, kołatki, bębenki i tamburyny. Po chwili już śpiewały one wesołą piosenkę o jeździe wozem i z całą powagą wytrawnych muzyków, na odpowiedni znak zaczęły sobie towarzyszyć grą na instrumentach. Naraz zadudniły koła na bruku, słychać było galop koni... Ilustracja instrumentalna piosenki wypadła świetnie.

Oto fragment zajęć z przedszkola muzycznego w Rzeszowie. Przedszkole pracuje czwarty rok. Zaczęło pracę mając 35 dzieci, obecnie lista przedszkolaków obejmuje jeszcze raz tyle nazwisk. Najmłodsza przedszkolaczka Ewa Drzymała miała niepełna 4 lata, gdy zaczęła tu chodzić. W zasadzie przyjmuje się dzieci w wieku 4—7 lat.

Przedszkole powstało jako placówka eksperymentalna (tylko nieliczne są w kraju) przy szkole muzycznej I stopnia pod patronatem Towarzystwa Ognisk Artystycznych. Dziś przymiotnika „eksperymentalna" się nie używa, gdyż przedszkole zdało egzamin życiowy na piątkę z plusem. Okazało się, że dzieci przez zajęcia w „szkółce" rozwijają się bardzo szybko i swobodnie, w ciągu dwóch lat realizują program I roku szkoły muzycznej stopnia podstawowego. Spośród przedszkolaków muzycznych szkoła rekrutuje podstawową część swoich uczniów. Różnica w rozwoju umysłowym dzieci z przedszkola muzycznego a innymi jest tak duża, że w przyszłości rzeszowska szkoła I stopnia przyjmować będzie niemal tylko dzieci, które uczęszczały do przedszkola muzycznego, aby nie obniżać poziomu nauczania. Mimo tak świetnych rezultatów eksperymentu, przedszkole pozostaje jedynakiem w naszym województwie...

* * *

Rzeszowszczyzna jest interesującym terenem pod względem rozwoju szkolnictwa artystycznego i zaliczana bywa do czołówki krajowej. Już w 1944 roku, kiedy na Zachodzie trwały walki, w Rzeszowie przystępującym do organizacji pokojowego życia powstała jedna z trzech pierwszych szkół muzycznych w wyzwolonej części kraju. Wymowa tego faktu była nader optymistyczna. Dziś sieć szkół i ognisk muzycznych obejmuje w zasadzie całe województwo. Poza zasięgiem ich działania pozostaje jedynie teren Bieszczadów, ale specyfika tego rejonu narzuca konieczność dalszego szukania nowych rozwiązań nie tylko w dziedzinie krzewienia oświaty i kutury.

Rzeszowskie posiada dwie Państwowe Szkoły Muzyczne II stopnia (w Rzeszowie i Przemyślu), 7 Szkół Muzycznych I stopnia, 1 Państwowe Ognisko Muzyczne i Ognisko Baletowe w Jarosławiu. Tę sieć państwowych placówek uzupełniają społeczne ogniska muzyczne. których wraz z filiami mamy bez mała 60. Z nowym rokiem szkolnym usamodzielniła się szkoła muzyczna II stopnia w Przemyślu, a Państwowe Ogniska Muzyczne w Łańcucie i Przeworsku zostały przekształcone w szkoły I stopnia. We wszystkich łącznie uczy się ponad 5 tysięcy dzieci, młodzieży i osób dorosłych.

Dużo to czy mało, biorąc pod uwagę, że województwo zamieszkuje nieomal 2 miliony osób?

Maria Cecylia Guziołek

NIE SAMYM CHLEBEM

Zapewne dziś nikt nie jest w stanie powiedzieć konkretnie ile szkół i ognisk powinno być, gdyż zadania szkolnictwa artystycznego są bardzo szerokie. W zasadzie szkoły przygotowują zawodowych muzyków; instrumentalistów, wokalistów — wirtuozów. członków orkiestr i teatrów muzycznych, nauczycieli i wykładowców dla szkół, teoretyków... Osobnym działem i to bardzo rozległym jest po prostu umuzykalnianie, kształcenie wiadomych odbiorców muzyki i sztuk pięknych, wychowywanie ludzi o szerokim horyzoncie myślowym. Z tych zadań można jednak wyodrębnić zasadnicze potrzeby w zakresie szkolenia kadr muzycznych. Na ten problem zwracają uwagę tezy zjazdowe. **Szkolnictwo artystyczne — czytamy — wymaga dostosowania do rzeczywistych potrzeb kraju i gospodarki narodowej.**

Przez pryzmat tez popatrzmy na sieć tego typu szkolnictwa, na naszym rzeszowskim podwórku. Wydaje się, że stanowisko władz wojewódzkich, aby systematycznie podnosić poziom istniejących szkół muzycznych (szkołom plastycznym poświęcimy osobny materiał) bez rozszerzania ich sieci, przy równoczesnym popieraniu jak najszerszego rozwoju społecznego ruchu tworzenia ognisk muzycznych, jest jak najbardziej właściwe, słuszne i realne. Dyskutowana jest natomiast sprawa powołania Liceum Muzycznego. Byłaby to placówka ze wszech miar potrzebna, gdyż wyeliminowałaby dojeżdżanie młodzieży do szkoły muzycznej, zapewniłaby bardziej systematyczną naukę najzdolniejszej młodzieży muzycznej. Dobrze, że sprawę pozostawia się jako otwartą i być może, iż w nie tak dalekim czasie przybierze ta koncepcja realne kształty. Co prawda najbliższe liceum znajduje się w Krakowie i rokrocznie oferuje miejsca młodzieży naszego województwa, ale które z rodziców chętnie godzi się na oddanie do internatu odległego niejednokrotnie o ponad 200 km od miejsca zamieszkania swego 14-letniego dziecka?

* * *

Kto uczy się w szkołach Rzeszowszczyzny? W szkole II stopnia uzupełniają swe kwalifikacje członkowie orkiestry symfonicznej naszej filharmonii, kształcą się nauczyciele dla szkół I stopnia. Obecnie już znaczna część grona pedagogicznego rzeszowskiej szkoły stopnia podstawowego to absolwenci miejscowej szkoły II stopnia. Grupa wychowanków tejże szkoły co roku podejmuje wyższe studia w Krakowie lub w innych ośrodkach muzycznych kraju. W „średniej szkole" uczą się również liczni wykładowcy ognisk muzycznych. I chyba ten ruch społeczny kształcący głównie wytrawnych odbiorców muzyki, melomanów z prawdziwego zdarzenia, długo będzie jeszcze chłonął każdą liczbę nauczycieli i instruktorów muzyki. Rzeszowskie ze swymi pięknymi, i jakże starymi tradycjami artystycznego ruchu amatorskiego jest stale nienasyconym rynkiem.

Ruch amatorski ma szczególnie ważkie znaczenie. Jak wiemy — piękne są programy wychowania muzycznego w szkołach, ale zbyt jeszcze często pozostają one na papierze zasadniczo z dwóch powodów. Prawie żadna szkoła nie zdobyła się jeszcze na urządzenie pracowni muzycznej z prawdziwego zdarzenia. Nadal trwają „targi" kto ma prawo prowadzić dziś ten trudny przedmiot, a jakże potrzebny dla ogólnego rozwoju umysłowego młodego obywatela;— Absolwent studium nauczycielskiego ze specjalizacją muzyczną, którą zrobił w czasie dwóch lat nauki przedmiotu, czy muzyk z wyższej szkoły muzycznej po co najmniej dwunastu latach studiów, nie mający jednak przygotowania pedagogicznego. Na razie pierwszeństwo mają nauczyciele, których stale brak.

Nie samym chlebem człowiek żyje! Sprawy przygotowania odbiorców sztuki i wychowania ludzi swobodnie poruszających się w wielkim skarbcu kultury jest nie mniej ważne jak przygotowanie dobrych fachowców. Możliwości są. Trzeba tylko chcieć z nich korzystać.

„Jak się bawić - to się bawić"

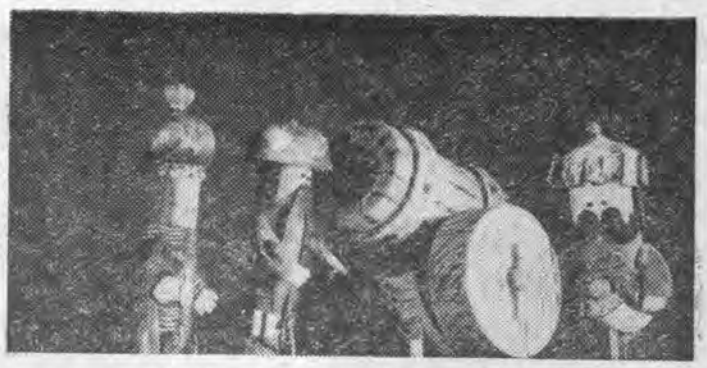

Scena ze sztuki „Jak się bawić — to się bawić".
Fot. J. OLMA

Zachęcający tytuł może mylić każdego, kto oczekiwałby beztroskiej rozrywki, której towarzyszą salwy śmiechu. J. Jelisiejew daje właściwie tekst trudny, chociaż w swoich założeniach cała budowa sztuki, jej koncepcja jest skonstruowana na jednej osi i łatwej poincie. Pod wiele obiecującym zawołaniem do zabawy, kryje się więc problem ważny i ciągle aktualny: ostrzeżenie przed groźbą wojny i jej tragicznych skutków — zagadnienie ujęte w konwencji bajkowej z przeznaczeniem dla najmłodszych odbiorców.

Teatr Lalki i Aktora „Kacperek" proponuje oglądnięcie przedstawienia, w którym carzawadiaka chce zniszczyć armatą swojego sąsiada cara Andriuszę. W przygotowaniu do wojny rozsypuje się stare działo, a fakt ten komplikuje plany akcji rozwiązania sąsiedzkich „nieporozumień". Gorączkowe poszukiwania majstra, który wskrzesiłby armatę doprowadzają do starcia się dwóch postaw: cara żądnego machiny wyrzucającej śmiercionośne kule i Wani, konstruktora cud-maszyny produkującej dla ludu chleb i kolacze. Narażając siebie i swoją narzeczoną, Wania nie ustępuje carowi, niszczy też swój wynalazek, aby nie przeznaczono go dla innego celu. W chwili, gdy wydaje się, że nic już nie zdoła uratować tej pary od kata, zjawia się nowa postać — Wygibans von Trala-Bis z działem. Detonacja oznacza katastrofalną kulminację, ale zgodnie z dezyderatem widza autor szczęśliwie wyprowadza losy Wani, Lenki i niani i w happy endzie zawiera główną myśl „z ogniem bawić się nie trzeba", bo skutki mogą być tragiczne.

Reżyser przedstawienia Stefan Stojakowski, zastosował w niektórych momentach pewne skróty tekstu, co dało zwartość spektaklu, a z drugiej strony wprowadził określone zabiegi inscenizacyjne dla uzyskania przejrzystości działań i rozwoju wypadków. I trzeba przyznać, że te zabiegi wzbogacają sztukę o nienowe, ale komiczne sytuacje, w które niestety sztuka nie obfituje. Doskonale na przykład może bawić scena pisania przez Bojara listu do mistrza, zaproponowana przez realizatora na wzór fredrowskiego epizodu wysiłku „twórczego" Dyndalskiego w „Zemście". Wiele innych efektów osiąga reżyser przez scenografię. I mimo że Jerzy Kolecki (scenograf), niczego rewelacyjnego nie wymyślił ustawiając dwie charakterystyczne dla rosyjskiej architektury kopulaste wieże — to jednak całość oprawy scenicznej dobrze skomponowana, nadaje swoisty styl, intensywnie barwnemu tłu sztuki.

W zespole aktorskim każdy „czuje się" dobrze w swojej roli. Wyczuwa się jednak brak obsady męskiej. Na pięć ról męskich w przedstawieniu tylko jedną gra doświadczony aktor Michał Walaszek (Bojar I). Role cara, Wani, Wygibansa i Bojara II grały aktorki i może dlatego zabrakło im werwy i siły, co powodowało chwilami załamanie dynamicznego rytmu spektaklu. Są to jednak drobne szczegóły techniczne — bo całość oglądało się jako przedstawienie kolorowe i dźwięczne (sympatyczny głos w piosence Lenki Anny Maczugi).

Jeżeli więc oczywiste luki w zespole aktorskim teatru są trochę za duże, to w przedstawieniu nie były one rażące — a świadczy to o starannej pracy reżyserskiej i dużym wysiłku wszystkich wykonawców. Uwzględniając i to, że Teatr Lalki i Aktora „Kacperek" jest instytucją z serwitutami objazdowymi i pod kątem dostosowania do najgorszych warunków w terenie inscenizuje się w nim każdą sztukę — należy stwierdzić, że przedstawienie „Jak się bawić — to się bawić" jest spektaklem udanym.

JUSTYNA WOŚ

Teatr Lalki i Aktora „Kacperek". J. Jelisiejew: „Jak się bawić, to się bawić". Reżyseria: St. Stojakowski, scenografia: J. Kolecki, muzyka: Z. Jeżewski. Wykonawcy: J. Bińkówna, B. Chmiel, B. Ciesielska, St. Górniak, A. Maczuga, J. Nord, M. Walaszek. Premiera: 13 IX 1968 r.

Czy jasielski PDK ozdobią kolorowe mozaiki?

Ilekroć jestem w stolicy (a zdarza się to kilka razy w roku), tylekroć z prawdziwą radością przekraczam próg urządzonego ze smakiem mieszkania przy ulicy Karowej. Siadamy wraz z profesorem, sympatycznym, niewysokim mężczyzną o siwych skroniach, w wygodnych fotelach. Z okien malarskiej pracowni profesora roztacza się widok, który za każdym razem jest przedmiotem mego podziwu: rozległa panorama drugiego brzegu Wisły, rozbudowującej się, pęczniejącej jak cała Warszawa — Pragi.

Profesora Jana Wodyńskiego poznałem przed kilku laty. Był to początek lipca 1964 roku, w salach warszawskiej Zachęty, dokonano uroczystego otwarcia zbiorowej wystawy twórczości rzeszowskiego środowiska plastycznego. Nastrój był uroczysty, a potęgowało go chyba ogromne napięcie i zdenerwowanie obecnych na otwarciu kilku autorów — plastyków z Rzeszowa. Niepokoiło ich pytanie, jak też wypadnie ta pierwsza prezentacja plastyki rzeszowskiej na warszawskim bruku? Prezentacja wypadła nadspodziewanie dobrze, czemu dawali wyraz obecni na wernisażu reprezentanci warszawskich środowisk plastycznych, jak też recenzenci w publikacjach, które ukazały się zresztą dopiero po kilku tygodniach. Jednym z życzliwych uczestników tego spotkania był znany malarz warszawski, profesor tamtejszej ASP, Jan Wodyński. Nie wiedziałem jeszcze, jakie są przyczyny serdecznego zainteresowania profesora rzeszowską plastyką, niebawem przecież przekonałem się, że nie jest to zainteresowanie zdawkowe i że wynika z wewnętrznej niejako potrzeby, ze stanowczo manifestowanych przez profesora związków z rodzinnymi stronami, z Podkarpaciem, Jasłem, Bieczem. Od tamtej, pamiętnej wystawy Wodyński zacieśnił kontakty z rzeszowską plastyką, bierze udział w naszych wystawach, ofiarowuje obraz dla szkolnej galerii malarstwa, zgłasza swój akces w plenerze, zorganizowanym w Baranowie Sandomierskim. Wreszcie przed dwoma laty profesor wystąpił z dużą, retrospektywną wystawą twórczości w rzeszowskim Domu Sztuki. Niedługo po tym prof. Wodyński przechodzi poważną chorobę serca, przez dłuższy czas leczy się, powoli wraca do ulubionej pracy na akademii do malowania. Gdy jako tako zaleczył skutki zawału, z zapałem zabiera się do hołubionego od dawna pomysłu. Sądzi on, że trzeba i współcześnie nawiązywać do pięknych renesansowych tradycji ozdabiania budynków trwałymi malowidłami. Ożywiłoby to szarzyznę naszego budownictwa. Profesor w tej dziedzinie ma pewne doświadczenia, jeszcze przed wojną brał udział w pracach, prowadzonych na lubelskiej Starówce.

W czasie pobytów w ulubionym Jaśle, Wodyński zainteresował się bogactwem kolorystycznych możliwości odpadków szklanych w tamtejszej hucie szkła. Zaświtała mu myśl: przecież te kawałki szkła o fantastycznych kolorach, odpowiednio dobrane, mogłyby tworzyć barwne mozaiki, znakomicie ożywiające bryłę jakiejś budowli! Pomysł ten nie dawał już profesorowi spokoju, chodził za nim tak długo, póki nie przeszedł w stadium realizacji. A zdopingowała malarza nowa inwestycja kulturalna, podjęta w Jaśle. Przystąpiono tam do budowy Powiatowego Domu Kultury. Profesor zapalił się do projektu przyozdobienia frontowej elewacji gmachu mozaiką własnej kompozycji. Wydębił z huty pewną ilość szklanych odpadów i w wolnych chwilach tworzy swoje mozaiki. Rzecz nie jest zbyt skomplikowana, ale jako novum, trudna do realizacji.

Oglądałem w pracowni profesora gotowe już płyty mozaikowe. Wielobarwne szkiełka osadzone zostały na cementowej zaprawie. Wygląda to efektownie, i jak zapewnia profesor — powinno doskonale spisywać się w naszych warunkach atmosferycznych. Aby ułatwić zakładanie tego typu kompozycji — artysta opracował kilka wariantów typowych, znormalizowanych płyt z mozaiką. Ich montaż na ścianie budynku nie przedstawiałby większych trudności. Przygotował również plan dostosowania kompozycji mozaikowej do sylwety jasielskiego Domu Kultury. W czasie pobytu w Jaśle odwiedził tamtejsze władze i spotkał się z ich strony z rzeczowym, pozytywnym przyjęciem. Wszyscy są zdania, że pomysł jest bardzo interesujący i należałoby go wprowadzić w życie. Tylko nikt nie wie jak to zrobić! Żywkie przedsiębiorstwo budowlane nie potrafi przygotować płyt mozaikowych, mogłoby natomiast zająć się końcową fazą robót, ich montażem. Kto ma jednak wyprodukować płyty mozaikowe? Oprócz umiejętności technicznych — potrzeba tu odrobinę estetycznego smaku. Gdy zastanawiałem się nad tym, nasunął mi się nieśmiały projekt. A gdyby sprawą tą chciała się zainteresować któraś z naszych szkół plastycznych? Myślę tu o Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu bądź też o Liceum Technik Plastycznych w Sędziszowie. Szkoły te grupują zdolną, pełną zapału młodzież i równie oddane sprawie grono pedagogów — artystów, malarzy, grafików, rzeźbiarzy? Może któraś z tych szkół podjęłaby się przygotowania płyt mozaikowych dla Jasła? Sądzę, że władze jasielskie zrobiłyby ze swej strony wszystko, aby ułatwić tę pracę, że dostarczyłyby odpowiednich środków.

A może później dałoby się rzecz całą szerzej upowszechnić? Może udałoby się wprowadzić technikę przygotowania mozaiki na stałe do programu szkoły artystycznej? Pytania te kieruję pod adresem kierownictwa obydwu szkół.

Ze swej strony prof. Wodyński skłonny byłby udzielić jak najdalej idącej pomocy szkole, która podjęłaby się wykonania płyt mozaikowych dla przyozdobienia Domu Kultury w Jaśle. Prof. Jan Wodyński czeka na ewentualną ofertę!

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

DYSKUSJE ● KORESPONDENCJE ● POLEMIKI ● DYSKUSJE

PROBLEM DO ROZWIĄZANIA

Ktokolwiek interesuje się historią wie, że obecne województwo rzeszowskie — historycznie bardzo młode — składa się z wielu części pradawnych organizmów nie tylko administracyjnych, lecz także państwowych.

Na tym terenie znajdują się stare i słynne miasta: Przemyśl, Sanok, Pilzno — siedziby kasztelanii, sądów grodzkich czy ziemskich. Jaką swego czasu pozycję miał chociażby Biecz świadczy fakt, iż Łokietek planował przeniesienie tutaj stolicy Polski, gdyby nie udało się opanować buntu mieszczan krakowskich. W Przemyślu, we wczesnym średniowieczu był potężny zamek murowany i aż dwie rotundy. Jarosław, chociaż miasto prywatne, słynny był na kilku kontynentach. Przeworsk miał potężne fortyfikacje.

Wiemy również, że faktycznie aż do XIX w., w życiu publicznym bardzo ważną rolę odgrywały herby, godła, gmerki i znaki. Miały tedy swoje herby — niezależnie od państwowego godła — województwa, ziemie, miasta i miasteczka. Mieszczanie pieczętowali się swymi gmerkami, własne znaki mieli niektórzy chłopi, tacy jak bartnicy, hodowcy itp. Były to znaki rozpoznawcze, własnościowe, przynależnościowe. Ale, jak wiemy dalej, dziś straciły swoje praktyczne znaczenie, pozostawiły tylko znaczenie historyczne i uczuciowe.

Jeśli dawniejszym jednostkowym wsiom zabroniono pieczętowania się ich dawnymi pieczęciami z indywidualnymi znakami dopiero w okresie międzywojennym — województwa i starostwa od początku odzyskania niepodległości używały pieczęci z godłem państwowym — to gdzieś ok. roku 1936 władza państwowa poleciła wszystkim miastom, jako jednostkom samorządowym ustalenie swych herbów, aby nie było żadnych dowolności. W związku z tym, w Warszawie powołano coś w rodzaju Komisji Historycznej, na której ręce poszczególne miasta zobowiązane były przedłożyć historyczne uzasadnienia swoich herbów. Naturalnie, dotyczyło to i Rzeszowa.

„Magistrat" po naradach ostatecznie zlecił dwom wybitnym heraldykom Emilowi Bieleckiemu i Adamowi Kamińskiemu, ustalenie i udokumentowanie herbu miasta Rzeszowa oraz kolorów tegoż herbu, aby ich wywody przedłożyć w/w komisji do zatwierdzenia. Po odpowiednich badaniach heraldycy przedłożyli swoje opracowania. Nie będę powtarzał ich wywodów, zainteresowanych odsyłam do artykułów A. Kamińskiego: „O herbie miasta Rzeszowa", „Zew Rzeszowa" nr 1/1937 i E. Bieleckiego, „W sprawie herbu miasta Rzeszowa", „Zew Rzeszowa" nr 3/1937. I oto okazało się, że opinie obu badaczy nieco się różniły. Obaj przyjęli godło „Krzyż Kawalerski", w kolorze srebrnym (białym), ale Bielecki dawał kolor tła niebieski, zaś Kamiński czerwony. Obaj naturalnie uzasadniali swoje stanowiska. Do ostatecznego rozstrzygnięcia nie doszło z powodu wybuchu wojny.

W r. 1944 powstało województwo rzeszowskie, z siedzibą w Rzeszowie. Miasto od samego początku odzyskania wolności nadal używało dawnego herbu, więc białego krzyża na niebieskim tle, barwą miasta pozostał nadal biały i niebieski.

O ile dobrze pamiętam — a byłem aktywnym świadkiem wydarzeń na terenie miasta od dnia wyzwolenia — bardzo rychło po utworzeniu województwa rzeszowskiego wypłynął problem, jakiego herbu ma ono używać, jakich barw. Ktoś wtedy powinien się zastanowić nad tym problemem. Może powinno zostać wyłonione jakieś kompetentne ciało czy organ do jego rozwiązania. Owo ciało powinno dokonać wyboru, wydać decyzję, przyjąć np. za herb woj. rzeszowskiego dawny herb ziemi przemyskiej, jako że duża jej część weszła w skład nowego organizmu, a i Rzeszów od połowy XIV wieku do tejże ziemi należał. Mogło podjąć inną decyzję, wskazać na jeszcze inny dostojny i historyczny herb. Ale kto wówczas zastanawiał się nad takimi „drobnostkami"; ważniejsze były inne sprawy.

Pamiętam, miała być jakaś wystawa ogólnopolska, każde z województw miało mieć swój symbol. Na poprzedzającej naradzie ten problem stanął w całej złożoności. Rozstrzygnięto go szybko: herb miasta Rzeszowa ma być również herbem województwa. Nasze województwo miał symbolizować kilimek z różnymi emblematami, jednak w środku widniał herb Rzeszowa, w przedwojennym charakterze. Gdzieś ten kilimek musi się znajdować.

Dziś problem wyłania się z całą ostrością. W tej dziedzinie panuje wielka dowolność, herby miasta i województwa przybierają różne postaci, w zależności od widzimisię projektanta. Poza tym używanie herbu Rzeszowa przez województwo jest rzeczą nieformalną. A przecież nie przedstawia większej trudności sprawę tę unormować i skodyfikować. Wprowadzić jakiś porządek.

Władze wojewódzkie i miejskie powinny wyłonić jakiś organ, mogłyby to być delegacje obu komisji kultury. Te zasięgnąwszy opinii fachowców przedłożyłyby odpowiednim organom ostateczny wniosek do zatwierdzenia. Wówczas herby stałyby się znakami i barwami w pełni urzędowymi.

FRANCISZEK KOTULA

Marian Janiga

PREORIENTACJA ZAWODOWA — WAŻNYM PROBLEMEM SPOŁECZNYM!

Decyzja o wyborze zawodu, o wyborze dalszego kierunku studiów jest bardzo trudna, a zarazem bardzo ważna. Ma ona decydujący wpływ na dalsze losy człowieka, na zaspokojenie jego dążeń i aspiracji. Decyzję o przyszłej pracy zawodowej i kierunku dalszego kształcenia się powinien podjąć uczeń kończący szkołę podstawową lub liceum ogólnokształcące na podstawie oceny własnych zainteresowań, zamiłowań, uzdolnień i możliwości fizycznych oraz na podstawie znajomości poszczególnych zawodów — specjalności, charakteru pracy, warunków ekonomicznych, zapotrzebowania na rynku pracy itp.

Trzeba podkreślić, że zarówno rozwijanie zainteresowań i uzdolnień dziecka, jak i zapoznawanie go z różnymi rodzajami pracy ludzkiej, z planami gospodarczymi, postępem technicznym, a także z systemem szkolnictwa zawodowego średniego i wyższego, jest integralną częścią całego procesu nauczania i wychowania, realizowanego w domu, szkole i innych placówkach oświatowo - wychowawczych. Dominująca rola pod tym względem przypada jednak szkole ze względu na organizację nauczania i różnorodne środki wychowawcze, jakimi dysponuje.

W szkole podstawowej preorientacja zawodowa prowadzona jest od kl. V do VIII. Do najważniejszych form tej pracy należą pogadanki, wyświetlanie filmów zawodoznawczych, spotkania z fachowcami — specjalistami z różnych dziedzin, wycieczki do zakładów pracy i szkół zawodowych, konkursy itp. W podobny sposób przebiega akcja informacyjna w dwu ostatnich klasach szkół średnich o kierunkach i możliwościach dalszego kształcenia się. Pomagają w tym wyższe uczelnie organizując „dni drzwi otwartych". Do pomocy szkole w zakresie obserwacji dziecka, rozpoznawania, zapobiegania i likwidowania różnych niepowodzeń pedagogicznych, a także w zakresie przygotowania młodzieży do wyboru zawodu zostały powołane w 1964 roku Poradnie Wychowawczo-Zawodowe. O pracach Poradni w zakresie opieki nad dziećmi i młodzieżą trudną oraz dziećmi upośledzonymi umysłowo miałem już możność informować czytelników na łamach „Widnokręgu". Tym razem chcę omówić niektóre zagadnienia związane z badaniami psychologicznymi, związanymi z poradnictwem zawodowym.

Można zadać pytanie, dlaczego o tym zagadnieniu informuję tak wcześnie, bo na samym początku roku szkolnego, kiedy prawie nikt o wyborze zawodu jeszcze nie myśli. Chodzi o to, że w miesiącach wiosennych wielu uczniów nie może skorzystać z porady psychologa ze względu na przeciążenie pracą pracowników poradni. Okazuje się bowiem, że w jesieni niewielu uczniów zgłasza się po poradę, podczas gdy w miesiącach wiosennych, kiedy pracownicy poradni zajęci są m. in. selekcją dzieci do szkół specjalnych, przychodzą ośmioklasiści i wszyscy chcą być od razu przebadani. Trzeba podkreślić, że badanie psychologiczne związane z wyborem zawodu trwa ponad 5 godzin i nie wszystkie testy można przeprowadzać grupowo. Z tego względu wielu uczniów przychodzi po kilka razy do poradni. Aby tego uniknąć, zachęcam tych uczniów, którzy chcą skorzystać z porady przy wyborze zawodu (odpowiedniej szkoły przygotowującej do danego zawodu), aby do badań psychologicznych zgłosili się wcześniej.

Nieodpowiedni wybór zawodu (dalszej nauki) — pociąga za sobą rezygnację z obranego kierunku i przeniesienie się na inny, co powoduje stratę roku lub więcej. Gdy uczyłem w Liceum Pedagogicznym i w Liceum Medycznym w Gorlicach, byłem świadkiem rezygnacji uczniów ze szkoły nawet po trzech latach nauki. I wtedy dopiero stwierdzali, że dana szkoła im nie odpowiada. Całkowita rezygnacja z dalszej nauki, a więc brak określonego zawodu; niezadowolenie, niechęć do pracy, brak sukcesów w pracy zawodowej w wypadku ukończenia studiów o nieodpowiednim kierunku — oto dwie przykre konsekwencje tego stanu rzeczy.

Młodzież często chce po prostu „dostać się do jakiejś szkoły lub na jakieś studia", nie zastanawiając się, co będzie dalej. A kiedy wreszcie zaczyna myśleć o tym, jest już zbyt późno. Dlatego trzeba już teraz na początku roku szkolnego sprawę dokładnie rozważyć. Zadecydować musi każdy uczeń sam za siebie; rodzice, nauczyciele, koledzy, znajomi mogą pomóc, poradzić, ale postanowić trzeba samemu.

Czym się kierować przy wyborze kierunku dalszej nauki, co należy brać pod uwagę? Aby móc dobrze wybrać, trzeba:

a) dobrze znać różne zawody i kierunki dalszego kształcenia;

b) znać samego siebie, swoje możliwości.

Ponieważ młodzież zna niewiele zawodów i kierunków dalszego kształcenia na szkole więc spoczywa przede wszystkim obowiązek stopniowego zapoznawania jej z tym zagadnieniem. Aby ułatwić szkole wykonanie tego zadania, wszystkie istniejące w naszym województwie poradnie wychowawczo - zawodowe przesłały do szkół, nad którymi sprawują opiekę „Projekt kalendarza zajęć w klasie VIII w zakresie przygotowania do wyboru zawodu" oraz przykładowe konspekty pogadanek na ten temat. „Kalendarz" ten ma ułatwić szkole zaplanowanie programu działania w tym zakresie na cały rok szkolny. Zawiera on różne formy pracy z młodzieżą, a jego realizację pozostawiono inicjatywie nauczycieli i wychowawców, w zależności od możliwości środowiskowych. Oto fragment ze wspomnianego „Kalendarza":

Wrzesień

1. Omówienie na Radzie Pedagogicznej planu pracy w zakresie przygotowania młodzieży do wyboru zawodu.

2. Pogadanka wprowadzająca dla młodzieży na temat: „Jak należy wybierać zawód, aby wybór był słuszny!".

Październik

1. Informacja o szkolnictwie zawodowym (na podstawie „Informatora Szkolnictwa Zawodowego") — część wstępna.

2. Wypracowanie lub ankieta o wyborze zawodu. Przewiduje się dwa zajęcia tego typu: jedno w październiku, drugie w marcu. Pierwsza ma na celu zorientowanie się, jakie są życzenia zawodowe młodzieży oraz pobudzenie młodzieży do zastanowienia się nad wyborem zawodu. Drugie zaś ma na celu zorientowanie się, jak młodzież jest przygotowana do wyboru zawodu i jakie nastąpiły zmiany w życzeniach zawodowych młodzieży. Ankieta o wyborze zawodu może zawierać m. in. pytania: Czy po skończeniu VIII klasy chcesz pójść do szkoły ogólnokształcącej, czy do zawodowej?; jeśli chcesz iść do szkoły zawodowej, to jakiego zawodu chcesz się uczyć i dlaczego?

3. Rozpoczęcie cyklu pogadanek o poszczególnych zawodach na podstawie książki „Kim będę — Wybieram zawód" i innych materiałów lub wspólne czytanie i omawianie rozdziałów książki.

4. Wycieczka do zakładu pracy lub na teren budowy.

5. Pogadanka wprowadzająca dla rodziców na temat: „Jak należy wybierać zawód, aby wybór był słuszny".

W następnych miesiącach zakres pracy wychowawczej szkoły pod tym względem poszerza się. Znajomość zawodu, zdawanie sobie sprawy z tego, co się będzie robiło po ukończeniu danego typu szkoły i na czym będzie polegać przyszła praca — jest problemem bardzo ważnym z punktu widzenia tak osobistego ucznia, jak i społecznego. Wybierając kierunek dalszej nauki młodzież często nie myśli o przyszłym zawodzie, lecz o samej nauce. Jest to niesłuszne. Myśląc o przyszłym zawodzie — trzeba widzieć zarówno jego dobre, jak i przykre strony. O niektórych zawodach krążą bowiem w pewnych okresach różne mity: do niedawna uważało się, że każdy lekarz zarabia ogromne sumy; podobnie architekt. Aby dobrać dla siebie najodpowiedniejszy zawód, trzeba znać s a m e g o s i e b i e, a to nie jest takie proste, jak się na pozór wydaje. W tym właśnie może pomóc psycholog.

Wyobrażam sobie...

Przed malowaniem mieszkania

Często czytam w gazetach, że znajduje się w jaskiniach kości naszych przodków. Człowiek nieobyty z nauką może się dziwić, dlaczego ślady zwłok znajdujemy nie na cmentarzu, tylko w jaskiniowym M-4, ale ja się nie dziwię. Przeciwnie, pochylam się z prawdziwym szacunkiem nad żonatym prochem człowieka, ponieważ potrafię sobie wyobrazić ten śmiertelny i tragiczny w skutkach incydent.

Wraca sobie nasz przodek z polowania do domu i sobie myśli: — Dzisiaj powinna być na obiad mamucia rapka, trochę zdrowego napoju na gorczycy, żona słowa złego nie powie, bo niedawno otrzymała zimowe futro z jaskiniowego niedźwiedzia, dzieciaki, chwała Bogu, zdrowe, szwagier nie świnia i oddał pożyczony w poprzednim roku mało używany grot, Szef Plemienia nie margnie, bo przekupiony tłustymi kuropatwami, zwierzyna latoś obrodziła, słowem, świat idzie ku lepszemu i te pe.

Ale zamiast zasłużonego wypoczynku w domowych pieleszach, napotyka scenę: obiad przypalony na amen, dzieciaki wrzeszczą, jakby je ktoś na domowym ognisku posadził, żona rozmamłana płacze — co to za życie, dlaczego nie posłuchałam mamusi, lepiej już bym wyszła za tego rolnika z Czo-Magnonlu, jego żona sobie w skórach leży i tylko na żniwa czeka, a dzieci co chwila coś wymyślą i na pewno niedługo wynajdą łuk.

Człowiek się drapie w niestrzyżoną grzywę i myśli: — Co się tej jaskiniowej babie przyśniło, a idź sobie do mamusi, jeszcze mrożonego mamuta dołożę, tylko daj mi coś zjeść, bo cię maczużką pomasuję — mówi człowiek cicho do siebie i nie wie, co ma o całej sprawie myśleć. Sądzę, że sporo jest racji w przypuszczeniach, że człowiek jaskiniowy był mało rozgarnięty w interesach.

A żona na to:

— Rozejrzyj się, niedojdo, po chałupie, zobacz jak inni mieszkają. Osmalony kamień, stalaktyty do zupy mi włażą, dzieciaki cały dzień siedzą jak małpy pod sufitem.

— O co ci chodzi, szczęście moje przedślubne, masz się w co ubrać, dzieciaki, chwała Bogu, zdrowe, na rożen masz co włożyć, a i jaskinia metrażowa, niczego sobie...

— A zobacz, jaką ma jaskinię Złamany Kieł, a Zamolona Skóra, a z mieszkania Szefa Plemienia szkoda wychodzić, tak ma ładnie pomalowane...

— Jak dostaliśmy przydział na jaskinię, nie mieliśmy potomstwa, przypomnij sobie. Może trochę ciasne, ale sucho i ciepło. Mówiłem już z Szefem w sprawie tego i owego, powiedział, jak się jakiś wypadek zdarzy na polowaniu, o przydziale nowym pomyśli. A teraz daj mi jeść — powiedział przodek i kopnął od niechcenia jakiegoś psiaka-przybłędę.

— O, ja nieszczęśliwa — zawodzi kobieta przodka — to durne, neandertalskie chłopisko tylko o żarciu myśli! Jak ja mam się przy strumieniu z innymi babami spotykać, jedna ma piękne żubry na ścianach, podobno to jej chłopu w polowaniu pomaga, drugiej mąż odrobił w kamieniu portret. Co prawda do rosołu, tfu, wstyd toto dzieciakom pokazywać, ale dzieło sztuki jest! Jak nie odnowisz jaskini, z dzieciakami wyprowadzam się do mamusi.

— No dobrze, dobrze — powiada przodek — mieszkanie faktycznie przykopcone, dzieciaki nosy od ściany brudzą. Tylko pomyśl, skąd my na malarza weźmiemy? Ty wiesz, ile kosztuje taki jeden bizon, a batalistyczna scena z polowania? A nie można by trochę skromniej, potraktujemy ściany wapnem na biało.

— Na biało? Ty chcesz, abym cały dzień ze ścierką za dzieciakami biegała i napisy ścierała? Ty wiesz, co te małpy na skałach rysują? Do potoku nie można bez wstydu przejść, tak publiczną moralność gorszą.

— Dobrze, dobrze — mówi na to nasz biedny przodek — jutro porozmawiam z malarzem, zapytam się, ile weźmie.

— Z nikim nie porozmawiasz, nie masz tylu grotów, aby je wyrzucać na śmietnik. Ja już ci farby uzbierałam, w tykwach stoi, masz i ziemną ochrę, i gałązki jedliny, i sadzę z komina, i szpikowy tłuszcz, wszystko jak trzeba. Od rana zabierasz się do malowania, może malować Ostry Kieł, możesz i ty...

Hm — powiedział przodek drapiąc się w łopatkę — prawdę mówiąc, dlaczego mam nie spróbować... Kiedyś się na skale wydrapywało to i owo... pamiętasz.

— Idź ty, zbereźniku — szturgnęła go pod żebra żona — tobie tylko zbytki w głowie. Wszystko na mojej głowie, o ja nieszczęśliwa...

Przodek podrapał się w kudły i poszedł wyrywać bizonowi sierść na pędzel. Wszystko się stanie tak, jak zapowiedziała żona.

A ty, drogi archeologu, jak rozkopiesz jaskinię i znajdziesz połamane kości jaskiniowca, wiedz, że nie jest to przypadkiem pozostawiony nieboszczyk, tylko nieszczęsna ofiara domowych porządków. Może nie miał grotów na malarza zawodowego, może powiedziała mu żona, że potrafi sama, może wmówiono mu, że ściany jaskini są brudne. Tak czy inaczej, przeczytaj, zanim sam zdecydujesz się na gustowny szlaczek pod sufitem.

WIESŁAW RUSTECKI
artysta plastyk pokojowy i olejny

KSIĄŻKI

Mikołaj Czukowski: O ŚWICIE. Przeł. J. Jędrzejewicz, T. Żeromski. PIW, s. 240, cena zł 14.

Nieżyjący już dziś pisarz był synem Kornieja Czukowskiego, również pisarza. Omawiana książka zawiera trzy jego ostatnie opowieści: „O świcie", „Kwitły poziomki" i „Tchnienie życia". Pierwsza to charakterystyka dziewczyny z białogwardyjskiej rodziny, żyjącej w obcym jej środowisku chłopów estońskich. Dwie dalsze opowieści mówią o wojnie pokazanej przez pryzmat ludzi, ich postaw. Ciekawa proza.

WEZBRANY NURT. **Opowiadania.** Przekł. zbiorowy. PIW, s. 368, cena zł 22.

To już szósty z kolei doroczny tom opowiadań pisarzy radzieckich. Jest tych opowiadań dwadzieścia jeden. Publikowane były w latach 1964 i 1965. Książka prezentuje głównych pisarzy najmłodszego pokolenia.

Borys Nosik: OD DUNAJU DO LENY. Przeł. B. Justynowicz. Wyd. Morskie, s. 238, cena zł 15.

Dziennikarz radziecki, jako zwykły marynarz przepłynął około 12 tys. kilometrów na statkach rzecznych. Zwiedził w ten sposób cały prawie Związek Radziecki. Plonem tych podróży jest kilka tomów reportaży. Jednym z nich jest prezentowany, wydany w ZSRR w 1955 roku.

Tibor Cseres: ZIMNE DNI. Tłum. T. Olszański. PIW, s. 176, cena zł 10.

Przeszło pięćdziesięcioletni dziś pisarz węgierski wydał przed wojną kilka tomików poezji i prozy. Popularność zyskała mu jednak dopiero powieść (wydana w 1964 roku) „Zimne dni". Jest to rekonstrukcja wydarzenia ze stycznia 1942 roku, kiedy sprzymierzone z Niemcami wojsko i żandarmeria węgierska dokonały krwawej masakry ludności serbskiej i żydowskiej w okolicach Nowego Sadu. Ten rzadki okaz krytycznego spojrzenia na własną wojenną przeszłość w krótkim czasie zaadaptowano dla potrzeb teatru i filmu, nawiasem mówiąc nagrodzonego na Międzynarodowym Festiwalu w Karlovych Varach.

Ludwik Souček: TAJEMNICA ŚLEPYCH PTAKÓW. Przeł. A. Piotrowski. Iskry, s. 288, cena zł 14.

W cyklu „Fantastyka—Przygoda" powieść czeskiego pisarza. Pisana w formie artykułów dla prasy, z tym że o tej niezwykłej przygodzie opowiadają autorowi i jej uczestnicy, i ludzie mający z nimi kontakt. Wartka akcja, naukowy podtekst. Podobne nieco do książek naszego Lema.

Mercedes Valdivieso: DZIESIĘĆ PALCÓW. Przeł. M. Bieszczadowski. Czytelnik, s. 136, cena zł 10.

Autorka jest młodą pisarką chilijską, znaczącą już coś w literaturze tego kraju. Prezentuje „opowieść o przedstawicielce odchodzącego świata, niezwykłej kobiecie, która dokonała dzieła wielkiego, lecz nietrwałego, ponieważ skończyło się razem z nią, nie znajdując kontynuatora". Staranne wydanie.

Chinua Achebe: CZCIGODNY KACYK NANGA. Przeł. Z. Kierszys. KiW, s. 248, cena zł 14.

Jeden z najbardziej interesujących pisarzy nigeryjskich. Tematem powieści jest satyryczny obraz wyimaginowanego państwa afrykańskiego. Bohaterem, oczywiście negatywnym, jest przekupny polityk — karierowicz.

Thor Heyderdahl: AKU-AKU. Przeł. J. Giebułtowicz. Iskry, s. 276, cena zł 9. Wyd. IV skrócone.

Popularne (100 000) wydanie znanej u nas książki podróżnika norweskiego. Nosi nadtytuł: „Tajemnica Wyspy Wielkanocnej".

Cyryl Zdaniewicz: PIROSMANI — MALARZ NAIWNY. Przeł. I. Maślarz. Wyd. Literackie, s. 156, cena zł 25.

Autor — malarz mieszkający koło Tbilisi jest wnukiem Polaka. Odkrył Pirosmaniego, gruzińskiego malarza prymitywistę ok. roku 1912. Monografia artysty ilustrowana jest czarno-białymi i barwnymi reprodukcjami.

Andrzej Ziemilski: MASZYNA DO ŻYCIA. Szkice o cywilizacji amerykańskiej. KiW, s. 270, cena zł 18.

O Ameryce, konkretnie, o Stanach Zjednoczonych, pisze w tej książce autor bez retuszu, bez przysłowiowej szminki. Nasze wyobrażenie o tym kraju jest zwykle uproszczone. A jak jest naprawdę? Radzę przeczytać.

Stanisław Albinowski: HANDEL MIĘDZY KRAJAMI O RÓŻNYCH USTROJACH. (Po drugiej wojnie światowej i prognozy do r. 1980). KiW, s. 304, cena zł 35.

Pierre Naville: SPOŁECZNE SKUTKI AUTOMATYZACJI. Problemy pracy i automatyzacji. KiW, s. 274, cena zł 35.

W serii: „Biblioteka Nauki o Pracy".

Tadeusz Paradystal: PŁASKIE STOPY U DZIECI. Wyd. III. PZWL, s. 56, cena zł 4.

Cezary W. Korczak, Jerzy Leowski: GRYPA CHOROBA ZAKAŹNA. PZWL, s. 52, cena. zł 4.

Witold Rudowski: RAK I JEGO ZWALCZANIE. PZWL, s. 64, cena zł 7. Wyd. V.

Helena Słomczyńska: MOJE DZIECKO I JA. Wyd. VIII. PZWL, s. 112, cena zł 7.

Kartki dla Ewy

Wydrwigrosze

Ofiarowałam raz pewnej kobiecie pieniądze na lekarstwa. Dwie godziny potem widziałam ją w delikatesach kupującą sardynki i czystą wyborową. Na wzruszającą historię o chorym dziecku dałam się nabrać po raz ostatni. Teraz nie wierzę już rozmaitym typkom, choćby przysięgali, że dręczą ich tysięczne plagi i nieuleczalne schorzenia. Nie żyjemy na pustyni, tylko w kraju, gdzie każdy może otrzymać pracę i pomoc lekarską, a klęski żywiołowe załatwia PZU. Chętnie pomogę drugiemu, jeśli sytuacja tego wymaga, ale nie lubię być naciągana, nawet na drobiazgi. Tego zdania są wszyscy, tym bardziej więc zdumiewająca jest ludzka łatwowierność. Wciąż dowiadujemy się o przeróżnych historiach, na jakie ludzie dają się nabierać. Pośrednicy mieszkaniowi wyłudzają grubsze sumy za przydział mieszkania, kupno domu, wpis do spółdzielni. Nie brak „urzędników" samochodowych i od zagranicznych wycieczek. Agenci księżycowych firm oferują dywany, dzieła sztuki, ślubne fotografie za odpowiednią przedpłatą. Nawiedzają nas zagadkowi kontrolerzy urządzeń elektrycznych i gazowych. We wsiach kręcą się pseudoadwokaci udzielający porad prawnych, którzy znajomość jurysdykcji czerpią z kryminalnych odsiadek. Naiwni płacą, nie mając pojęcia z kim przyjemność. Później rozpaczają — „Człowiek niby sympatyczny, muchy nie skrzywdzi, a taki łotr" — gdyż często stracili długoletnie oszczędności.

Wydrwigrosze instynktownie wyczuwają sprzyjający grunt. Śluby, pogrzeby, awanse, nowe mieszkania i matura wnuka są okazją do naciągania. Jedni skubią takich co zarabiają dwa tysiące, inni turystów z „Batorego". Wedle stawu grobla. Wszyscy oni chcą się szybko i tanim kosztem dorobić.

Podróżując po Polsce wiele się można dowiedzieć. Mówią ludzie o żebrakach mających własne wille i grubszą gotówkę, o kalekach, którzy od czasu do czasu odzyskują zdrowie bawiąc się w eleganckich lokalach. Są i inne zjawiska — rodzime damy lekkich obyczajów kupiły na Wybrzeżu luksusowe mieszkania za dolary.

A propos dewiz! Odwiedza Polskę po latach niewiasta stale mieszkająca za Atlantykiem. Z Warszawy do rodzinnej miejscowości podróżuje taksówką. Namówił ją do tego wygadany jegomość, poddając wątpliwości usługi PKP. Starsza pani wzruszona troskliwością sądziła, iż to słowiańska gościnność tak o nią troszczyć się każe. Niestety, spotkało ją rozczarowanie. Uprzejmy cicerone zażądał wynagrodzenia w dolarach. Za 200 km wyliczył 20 „miękkich".

Od lat sądzimy, że ludzie przybywający do nas z Ameryki — w domu śpią na banknotach. Są i bogacze, ale większość długo składa, aby na starość odwiedzić ojczyste kąty. Wszystkich ich bez wyjątku dziwi nasz sposób bycia, zwyczaje. Biedni niby ci rodacy jak myszy na przednówku, a samochody mają, budują się i jedzenia nikomu nie brakuje, wóda leje się strumieniem, a listy błagalne o pomoc do Wuja Sama ślą. Pewna amerykańska rodzina przestała wspomagać swych krewnych dolarami na PeKaO. Powodem była rozmowa telefoniczna zamówiona do Los Angeles. Chodziło o wysyłkę nylonowego namiotu potrzebnego na wakacyjny kemping. Zamiast namiotu przyszedł list z wymysłami.

Śmieją się z nas zagraniczni turyści, opowiadają anegdotki o bagażowych i babciach klozetowych nie przyjmujących krajowej waluty. Z tych kpinek rośnie mały mit o polskiej zachłanności, łapczywości i wydrwigroszostwie.

BEGA

POLSKA KSIĄŻKA

W księgarniach pokazała się książka, która niknie wśród ponad 800 nowych tytułów, jakie co miesiąc ukazują się w Polsce. Jest to książka osobliwa, choć niepozorna (60 stron), swym charakterem sprawia, iż stanowi swego rodzaju wydarzenie. Jest bowiem reedycją pracy, która ukazała się pierwszy raz konspiracyjnie w podziemnej Polsce roku 1944. Jej autorka, bibliotekarka Wanda Dąbrowska, wydała ją wówczas pod pseudonimem „Jan Dewan" z fałszywą datą 1939 r. Esej pt. „Walka o książkę" dotyczy stanu przedwojennego bibliotekarstwa polskiego i czytelnictwa oraz wniosków na przyszłość. Praca wydana u schyłku wojny w lecie 1944 roku — prawie nie ujrzała światła dziennego; bez mała bowiem cały nakład został zniszczony w powstaniu warszawskim.

Broszura powstała — podobnie jak wydanych bądź przygotowanych 60 innych tomików — staraniem konspiracyjnego Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury. W przedmowie do obecnego wydania, znawca polskiego ruchu oporu Wł. Bartoszewski pisze, że praca ta „należy do rzędu tych publikacji konspiracyjnych, których intencja i myśl przewodnia zachowały do dziś znaczenie w naszym życiu społecznym". Zacytujemy więc parę myśli przedwojennej działaczki oświatowej o 30-letnim stażu, z jej książki wydanej w okresie okupacji hitlerowskiej.

Autorka podkreśla na wstępie, że „w ciągu 20 lat niepodległości nie wyznaczono bibliotece publicznej należnego miejsca, wyodrębniając niekorzystnie Polskę z powszechnego ruchu oświatowego", a także, iż „przesunięto sprawę upowszechnienia oświaty i kultury poprzez słowo drukowane na boczny tor". Z ironią komentuje W. Dąbrowska oficjalną liczbę przedwojennych bibliotek — 8 526 — w które wliczono nawet księgozbiory liczące... 25 książek. „Blisko połowa z nich (43 proc.) — pisze ona — nie jest dostępna dla wszystkich, prawie połowa również (45 proc.) pobiera opłaty nieraz nawet dość znaczne, a czasem i zastawy pieniężne, a więc prawie połowa — to nie biblioteki publiczne, których cechą współczesną jest dostępność dla wszystkich". Autorka podaje, iż z końcem pierwszego 10-lecia międzywojennego 1 książka przypadała na 5 mieszkańców Polski, a w okresie drugiego dziesięciolecia przybyło zaledwie 885 bibliotek.

W dzisiejszym posłowiu wydanej obecnie książki W. Dąbrowska podkreśla, że zawarte w jej konspiracyjnej broszurze „myśli i pragnienia znalazły w Polsce Ludowej natychmiastowy wyraz".

Najkrótszym komentarzem do tego stwierdzenia może być podanie paru liczb z „Małego Rocznika Statystycznego 1968". Rocznie wydajemy ponad 9,6 tys. tytułów książek o łącznym nakładzie 105,5 mln egz.; w kraju działa prawie 40 tys. bibliotek publicznych i szkolnych o 124 mln pozycji, z których korzysta rocznie ponad 12 mln czytelników!

Mgr KLEMENS GUDEL — kierownik literacki Państwowej Filharmonii w Rzeszowie.

Rys. J. SIENKIEWICZ

PRZYWILEJE

(Ciąg dalszy ze str. 1)

dzie systemu rodzinnego. Oczywiście, że takie uzurpowanie sobie szczególnych i niczym nie umotywowanych praw staje się przedmiotem szerokich uogólnień przy wszystkich okazjach do krytyki.

Jeśli dyrektor handlowy przydzielając atrakcyjny towar do sklepów jednocześnie wydaje zakaz jego sprzedaży i szybko obdzwania znajomych informując, że może ich zaopatrzyć w ów delikates — to może to brzmieć nawet humorystycznie, gdyby rzecz nie miała swego znamiennego klimatu społecznego. Nie do śmiechu zapewne także tym, którym za identyczne pieniądze przydziela się mieszkanie gorzej zlokalizowane i gorzej wyposażone niż innym reflektantom, lepiej usytuowanym w hierarchii towarzyskiej lub służbowej.

MÓWIMY O RÓWNOUPRAWNIENIU

Teoria i praktyka demokracji socjalistycznej jest tematem numer jeden okresu ożywienia politycznego, jaki ostatnio przeżywamy. Zapotrzebowanie na właściwe stosowanie w życiu codziennym teoretycznych założeń demokracji w najszerzej rozumianym znaczeniu tego słowa, daje znać o sobie nie tylko w postaci zasadniczych dysput naukowych, lecz także poprzez prywatne szukanie życiowych odnośników. Zdarza się zresztą przy formułowaniu listów do redakcji, że korespondenci, poruszając to czy owe zjawisko, nie używają nawet terminów „demokracja" i „socjalizm". Niezależnie jednak od tego — istota sprawy wiąże się z tymi właśnie pojęciami. Indywidualne żale, zastrzeżenia i słowa krytyki dają się sprowadzić do tego właśnie podstawowego mianownika.

Demokracja dnia powszedniego jest obszarem zjawisk niesłychanie delikatnym i drażliwym. Wymaga nie tylko politycznego wyrobienia, ale w tym samym stopniu także kultury osobistej. Po to, by ewentualne luki w tej mierze w porę niwelować, konieczne jest uruchomienie całej ostrości takiego instrumentu społecznego działania, jakim jest krytyka.

I nie ma w zasadzie większego sensu ewentualna argumentacja, że przytoczone tu lub zaobserwowane przez kogoś inne przykłady są przypadkowe i być może odosobnione. Indywidualne praktyki poszczególnych ludzi łamiących lub tylko przekraczających obowiązującą w naszym kraju zasadę społecznej równości są także groźne. Bezkarność w tej mierze może bowiem mnożyć potencjalnych naśladowców.

(AR)

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

R. K. Lubaczów: Pańskie wiersze są interesujące, szczere i kulturalne. W najbliższym czasie coś z nich wydrukujemy. Prosimy o trochę cierpliwości.

J. Z. Przemyśl: Z pańskiego wiersza widać, że lubi Pan poezję na koturnie, patetyczną i pełną pustej retoryki. Używa Pan tak bombastycznych metafor, jak np.: „żeglują po niebie korabli miliony", „księżyc krągły dukat złoty, gwiezdny kurier pędzi po bezdrożach" itp. Trzeba starać się o własny oryginalny wyraz, a nie stylizować utwory na anachronistyczne już dziś wzorce.

„Rita" Żyraków, pow. Dębica: Pyta Pani, czy przysyłał ktoś gorsze od Pani wierszy utwory do redakcji... Owszem przysyłano gorsze, ale nie radzimy się tym pocieszać, bo te, które Pani nadesłała są wystarczająco złe. Jest to tzw. „częstochowszczyzna" według najklasyczniejszych wzorów. Cytujemy dla przestrogi innym: „Groźny szum się z dala niesie", „wicher pędzi mdłe obłoki", „Otoczony czarnym płaszczem świat zamarł w duszy jak jesienny kwiat", „Drzewa karmią swe konary", „król światowy pędzi hen", „woda huczy jak na hali", „wszystko mija niby sen"... I nieudolne to, i sensu nie ma.

M. P. Sanok: Przeczytaliśmy uważnie felieton „Samosie" jeszcze przed wydrukowaniem, nie dostrzegliśmy, by był „głupi, pełen sprzecznych niekonsekwencji, demoralizujący, wręcz szkodliwy społecznie"... Zdziwił nas także adres pańskiego listu. Coś to wyglądało nam na próbkę donosu... Wolno oczywiście mieć każdemu czytelnikowi swoje zdanie, ale chyba wolno również i nam publikować materiały, które uważamy za pożyteczne.

J. H. Nadesłane wiersze nas zainteresowały. Prosimy o nadesłanie większej ilości utworów, wyraźniejsze pismo lub maszynopis i jakieś informacje o sobie.

ZDARZENIA TYGODNIA

Podczas posiedzenia Komisji Kultury Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Rzeszowie, tj. w dniu 14 bm. został powołany komitet organizacyjny Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Radzieckiej, organizowanego co roku przez Zarząd Główny TPPR. Tegoroczna impreza będzie przebiegać pod hasłem 25 rocznicy powstania ludowego Wojska Polskiego i 50-lecia Komsomołu.

A oto ogólne zasady organizacyjne konkursu: eliminacje środowiskowe rozpoczną się w listopadzie br. i trwać będą do stycznia przyszłego roku. W tym samym miesiącu rozpoczną się eliminacje powiatowe i zostaną zakończone w lutym, a turniej wojewódzki odbędzie się w terminie do 30 marca 1969 r.

Każdy z uczestników konkursu zobowiązany jest przygotować 2 piosenki w dowolnie wybranym języku — polskim lub rosyjskim. Na laureata I miejsca eliminacji wojewódzkich czeka główna nagroda w postaci wyjazdu do Związku Radzieckiego, natomiast uczestnicy, którzy zajmą miejsca I—III wezmą udział w ogólnopolskim spotkaniu, które odbędzie się w kwietniu. Najlepsi z nich spotkają się na V Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze.

◇

Dziś odnotowujemy już drugi z kolei w tym sezonie muzycznym koncert symfoniczny Państwowej Filharmonii im. A. Malawskiego w Rzeszowie.

Otóż 19 bm. przed publicznością Jarosławia, 20 — w Rzeszowie wystąpiła orkiestra Filharmonii, wykonując pod batutą gościnnie występującego opolskiego dyrygenta, Marka Tracza, utwory Wł. Żeleńskiego i M. Karłowicza.

Na program złożyły się również występy solistów. Zdzisława Donat (sopran Opery Poznańskiej) wykonała arie z oper Mozarta Raveia, Donizettiego i Szymanowskiego, a w interpretacji pianisty Józefa Kańskiego usłyszeliśmy „Rapsodię hiszpańską" Liszta-Busoniego.

◇

Zbliża się termin inauguracji wojewódzkiej roku kulturalnego 1968-69. W tej chwili mamy do odnotowania uroczystości powiatowe w Mielcu, Krośnie i Lubaczowie. Rok kulturalny inaugurują również placówki i instytucje. Np. w dniu 22 bm. w Przemyślu odbędzie się międzyzakładowa inauguracja, którą przygotowały: Przemyski Dom Kultury, Towarzystwo Dramatyczne im. A. Fredry „Fredreum", Towarzystwo Muzyczne, Międzyspółdzielniany Ośrodek Kulturalno-Oświatowy i Klub ZZK.

◇

W dniu 18 bm. w przeworskim Muzeum została otwarta zorganizowana z inicjatywy Zarządu Okręgu Związku Zawodowego Pracowników Państwowych i Społecznych wystawa, malarstwa rysunku i grafiki Tadeusza Przywary.

Autor wystawianych prac, plastyk amator z Mielca jest znany nie tylko w naszym województwie. Prace swe wystawiał wielokrotnie w Rzeszowie, Mielcu i Warszawie, zyskując wiele dyplomów, wyróżnień i nagród. Największym jego sukcesem było uzyskanie w 1966 r. I miejsca na Wystawie Prac Plastyków i Fotografików, zorganizowanej w 1966 r. w Kielcach przez Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Państwowych i Społecznych.

Obecna wystawa zawiera obrazy olejne, akwarele, drzeworyty prace tuszem oraz szkice i rysunki. Są więc krajobrazy, z różnych rejonów naszego województwa, martwa natura i portrety.

◇

W sobotę wznawia działalność zespół estradowy Państwowej Filharmonii im. A. Malawskiego w Rzeszowie. Tym razem z orkiestrą, którą dyryguje Tadeusz Chachaj, w programie wystąpią piosenkarze Regina Pisarek i Andrzej Tomecki.

W sobotę program obejrzą w sali WDK uczniowie rzeszowskich szkół, w niedzielę w Domu Kultury na osiedlu załoga rzeszowskiej WSK, a we wtorek mieszkańcy Lubaczowa.